

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 1 VI. 1952 r.

Nr 22 (356)

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Z PRZEDEDNIA

Pamięci zająć w Rzeszowskim w r. 1933

W mgłę szybki świecą się z lepianek
jak oczy nagich zwłok.
Daleko w polu świt. Poranek
chciwym jęzorem żłobie mrok.
Na stomie wszy i głodni chlapi.
Milczy zaspasy na drzwi pies.
W topieli olszyn — dwór. Deszcz kropi.
I tylko pachnie bez.
W mieście na plantach jaśmin świta,
W żarówce z baru lśni jak krew.
Wraca z rozpusty — patrz — Rzeczpospolita:
policjant, radca, szef.
W Rakszawie drzy u chudych włości
i chłonie rosę świeży liść.
I piękne pędy corocznej młodości.
Brzoza. Osika. Trześni kiść.
W tę noc ja Polskę lub zgubę zobaczę,
W tę noc, gdy błędnie gwiazdny rój,
w tę noc rakszawscy tkacze
na rozkaz odmaszerowują w bój.
Przez Trzeboś i Medynię błądą
majowy świt się chyli z dróg
i pędzi na kształt chmury gradu
zdyszany tupot nóg.
Do walki! Wychodź! Ku swobodzie!
Stawaj kto żyw u wrót, u dróg! —
I w krzyku tym we wschodzie
rumieni się majowy glóg.
A dała, gdzie bór piaski złocą,
ze starostw rozkaz tajny gna.
Pędzą agenci w noc, a nocą
śpi morze ciszy i bez dna.
Ziemia kulaków, obszarników
pyskiem Mauzera szczyrzy kły.
Policja takich buntowników
ma rozkaz tłuc. Starosta zły.
Na szosie hełmy, cień marszałka,
na szosie czeka osiem aut.
Pacyfikacja. Bagnet. Pałka.
I krew, i krew — ach wiosny raut!

*

Czyż mógłbym kiedyś, gospodarzu,
rakszawski zmieniający świat,
zgodnąć, że przyjdzie w kalendarzu
dwadzieścia takich lat,
że będę w strofkach niespokojny
wystawiał twoją skrzepłą krew
i niby: murarz po dniach znojących
pił z łzą o tobie chłopski śpiew?
Szosa, po której kiedyś „granatowi“
jechali ruch wolności gnieść,
płynął przez pola ku lasowi
świat nowy — patrz — traktorów sześć.
I tedy właśnie do swobody
rwie się kto żyw u pól, u dróg —
i w pędzie wiosny przez ogrody
rumieni się majowy glóg.

ZYGFRYD SAWKO

WSPOMNIENIE Z BIAŁOSTOCCZYNY

Niby jak dawniej — wieczór, szaruga,
Mży bez ustanku deszcz...
Ale gdy bagna znikły i ugor
Plug przeszedł wzdłuż i wszerz —

Rowerem przemkniesz do ukochanej
W najbardziej deszczową porę.
Żeby nie zmoknąć — kto by to łniany
Wkładal na plecy dziś worek.

Dawniej, pamiętam, gdy bez ustanku
Mży deszcz i drogi zalewał —
Po błocie brnęły chłopskie furmanki,
Kulawy wiatr skomlał w krzewach

I próżno w ślady furmanów wołać:
Człowieku, przewieź przez wodę.
...Twarze na furach tych ogorzale,
Nieogolone brody.

Wiśta! — popędza, wio! — wołał w mroku
Chłop z oczu w ciemność znikal.
Tonęły w błocie, drogą się wlokły
Chłopskie zaprzęgi w konika.

Przez torfowiska czarne, pamiętam,
Wieczorem dobrać nie mogłem.
Pośród zarośli do ciebie, kręta
Wiodła przez bagna droga.

I wiem: Choć drogą ubitą traktor
Przejeżdża tu dziś, Heleno,
W naszych wspomnieniach zostało tamto —
W czasach tak wielkich przemian.

JAN ALEKSANDER KRÓL

Porąbka — ostrzeżeniem i przykładem

ROK temu ze wsi Porąbka (pow. Sosnowiec) otrzymaliśmy od Jana Jelonka list pokazanych rozmiarów. Zawierał on 1) opis projektu spółdzielczego zagospodarowania łąk i pastwisk w Porąbce na przestrzeni 350 ha, 2) odpowiedź redakcji „Spółdzielni Produkcyjnej”, wyrażającą ocenę tego projektu, 3) artykuł polemizujący z odpowiedzią redakcji „Spółdzielni Produkcyjnej”. Artykułu nie zamieściliśmy, ponieważ zgodziliśmy się z oceną redakcji „Spółdzielni Produkcyjnej”.
„Jedną z głównych i niezmiennych zasad, na których opiera się idea spółdzielczości produkcyjnej — jest zlikwidowanie wyzysku człowieka przez człowieka. Zatem w zupełności niesłuszna i nie do przyjęcia jest propozycja zawarta w projekcie — donajmu ludzi z zewnątrz do obróbki pól członków proponowanej spółdzielni.

Jeżeli ludność gromady jest zatrudniona w kopalni i stamtąd czerpie swoje główne źródło utrzymania — to w takim wypadku niedopuszczalne jest tworzenie fikcyjnej spółdzielni produkcyjnej”.

Tu tkwił błąd Jelonka i rozdyktowanej gromady. Ale błąd popeliła również redakcja „Spółdzielni Produkcyjnej”. Krytykę bowiem swoją zamknęła takim wnioskiem.

„Jak wynika z Waszego referatu w Porąbce na obecnym etapie nie można i nie należy zakładać spółdzielni produkcyjnej”.

Tego błędu wówczas nie dojrzelśmy i dlatego w artykule Jelonka, polemizującym ze „Spółdzielnią Produkcyjną” uszło naszej uwadze to, co zbyła milczeniem wyrokująca redakcja.

„Jeśli nie można założyć spółdzielni produkcyjnej bez obawy posądzenia o fikcję — pisał Jelonek — to trzeba szukać innych dróg, aby ten martwy od stu lat kapitał łąkowy i pastwiskowy uruchomić i włączyć produkcyjnie do wykonania Planu Sześcioletniego”.

Był to trzeci — nasz błąd.

Porąbka pod względem zaludnienia jest wsią olbrzymią, ma 7000 mieszkańców. Tak wielkie skupienie ludności tłumaczy dwie duże kopalnie węgla: Kazimierz — Juliusz. Przed stu laty ileż mogło tu być rodzin chłopskich na 300 ha? Przyjmując przeciętną nawet 3 ha — 100 (osób około 500). Rozwój przemysłu węglowego na miejscu spowodował, że z pokolenia na pokolenie przysrastająca ludność nie odpływała w takim stopniu, jak to się działo w Krakowskim czy Rzeszowskim. Ale kopalnie węgla zatrzymywały nie tylko dlatego, że związane z nimi nadzieje na pracę. Kopalnie te dawały chłopom przybliżone wyobrażenia o całym Zagłębiu. Odbierały złudzenia, jakie żył chłop kielecki i rzeszowski, wędrujący do miast fabrycznych albo wyprawiający się za ocean. Tu w Porąbce uczono się rozumieć, że tak samo Sosnowiec, Będzin czy Katowice są nasycone swoim miejscowym żywiołem, po którym hulają zygaki kryzysów, obniżki płac, redukcji robotników i samej produkcji. To było jedno gorzkie doświadczenie. Drugie nie mniej ponure uczyło, że nie ma odwrotu. Na Porąbkę przed kilkudziesięciu laty „spadły” kopalnie jak manna z biblijnego nieba. Ale wraz z „dobrodziejstwem” odsłonił się eksploatacki charakter przedsiębiorstw kopalnianych. Kiedy takie parutyściżne Myślenice, Krotoszyn czy Wiślica są miastami — 7-milijonna Porąbka nie była przed wojną nawet osadą, nie była nawet wydzieloną z ogromnej gminy olkusko-siewierskiej, w której wraz z Kazimierzem (Porąbka — Kazimierz) stanowiły więcej niż połowę ludności, a ta połowa, 15 tysięcy, posiadała więcej mieszkańców od niejednej gminy. Kopalnie nie wydzignęły wsi do rangi i charakteru osady-miasteczka. Zatrzymały ją w półprywatnym stanie, który kazał wracać myślą do legendarnej już kolebki dla tych górników od czterech czy trzech pokoleń. Kiedyś tu na 300 hektarach mówiono: „chłopki ci ja, chłopki...” Przed wojną 5000 osób było już bez skrawka ziemi. Na morgi nikt nie potrafił odłożyć, a kiedy się obejrzał na populację, na Śląsk, ziemia tam u ludzi w akraach, w działeczkach, nie wypuszcza z rąk. Kiedy się obejrzał na północ, na jurę siewiersko-częstochowską — kraj odcięty od świata —

licha ziemia, malorolne chłopstwo, nędza. Odwrotu nie było.

Ale była walka na miejscu. Do dziejów tej walki nigdy nie sięgnął w swych korespondencjach Jelonek. A przecież poprzez jego informacje dobiega do nas nie tylko echo walk, dobiega ostatni, aktualny epizod. Na co wskazywała redakcja „Spółdzielni Produkcyjnej” — w „tworzeniu fikcyjnej spółdzielni produkcyjnej”?

Trzeba nie tylko wyliczać fakty, trzeba je wyjaśniać. Jaka to Porąbka weszła do nowej Polski? Z pięciu tysiącami mieszkańców bez ziemi i z dwoma tysiącami (400 rodzin) z

co z latami poszło u obu stron w zapomnienie z dwu powodów: Po 1) w kapitalistycznej gospodarce nie stosowano zamknięcia piaskowej przy eksploatacji węgla; to spowodowało obniżanie się powierzchni okolicznych terenów. W Porąbce ofiarą padły łąki. Obsunęły się, a przepływająca rzeczka zatopiła je, zamieniając w bagna i stawiska. Po 2) pastwiska na skutek działalności kopalni uległy przesuszeniu i stały się w ocenie mieszkańców absolutnym nieużytkiem.

Ale w latach kryzysu przypominał sobie o wygonie. Gromada — jak pisał Jelonek — starała się po 1930 roku o podział wspólnoty. Nie ze-

trzyma krowy. Prawdę mówiąc — na koszt państwa. Jak bowiem przedstawia się gospodarka? Odbija się w niej obraz sukcesji pokapitalistycznej. Zagony szerokości 7 lub 10 metrów ciągną się do 1 km długości, a „całego kraju” u rolnika — pół, a najwyżej 2,5 ha. W krainie wielkiego przemysłu gospodaruje się najbardziej zacofanym systemem kapitalistycznym: żytkami, ziemniakami, owies i trochę pastwiskach Tam, gdzie wokół fabryk i kopalni życie domaga się gospodarki warzywniczej i sadowniczej.

A teraz owe krowy. Wygony nie dają paszy, zagony tym bardziej. Więc przez dobrze rozwiniętą Spółdzielnię Gminną ZSCh 400 rodzin (teraz już 150) domaga się wyznaczenia w słomie i sianie. A tu Spółdzielnia nie potrafiła sprowadzić ani kilograma paszy objętościowej i „rolnicy” kupują słomę po 65 zł. u prywatnych handlarzy lub przyjeźdźnych chłopów z Olkuskiego. Oczywiście, nie dopuszczają myśli, że jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie. Po co krowy przy żytku i owsie. Czemu nie warzywa i sadownictwo, czemu, jeśli krowy, nie uruchomić 350 ha od stulecia martwej ziemi dla bazy paszowej?

Trzeba przyznać, że ta myśl dojrzała i w lutym 51 r. przybiera realny kształt wspólnej uchwały ZSL-u i ZSCh.

*

Czego to nauczyło się 400 rodzin „rolników” w nowej Polsce, za władzy robotniczej? Moenie i aktywne kolo partii pomogło zesłancom rozbudować gminną spółdzielnię i wyłaczyć z życia gospodarstwa o element kulacki, spekulacyjny i drobnokapitalistyczny. Gromadzkie kolo ZSCh przyczyniło się do poprawy produkcji rolnej. Wprowadzono maszynowe obsiewy i omoty, kontrakcje i planowy skup zboża. Już w r. 1950, 400 rodzin „rolników” wykonało plan w 150 proc.

Ale nie upraszczajmy. Projekt „spółdzielni produkcyjnej” jaki przesłał Jelonek w ub. roku do redakcji „Spółdzielni Produkcyjnej” dowodzi, że nauka acz wybitnie posunęła się naprzód, posunęła się po dwu torach, podnosząc i zaostrzając sprzeczności u „rolników”, odbarzonych dwoma duszami.

Czego to bowiem uczyła się dusza posiadacza? Po 1) w Gminnej Spółdzielni dostrzegła, że operuje się tu „siłami najemnymi a nie traktuje się tego, jako wyzysku człowieka przez człowieka”. Po 2) dostrzegła, że mechanizacja w rolnictwie, że traktor to siła, która może poradzić sobie z przesuszonym, stuletnim wygonem.

Ergo — założmy „spółdzielnię produkcyjną”, która zagospodaruje ugor (35) ha, tworząc z nich świetną łąkę, sady i zarybione stawy.

„Spółdzielnię produkcyjną” ale pod szczególnymi warunkami.

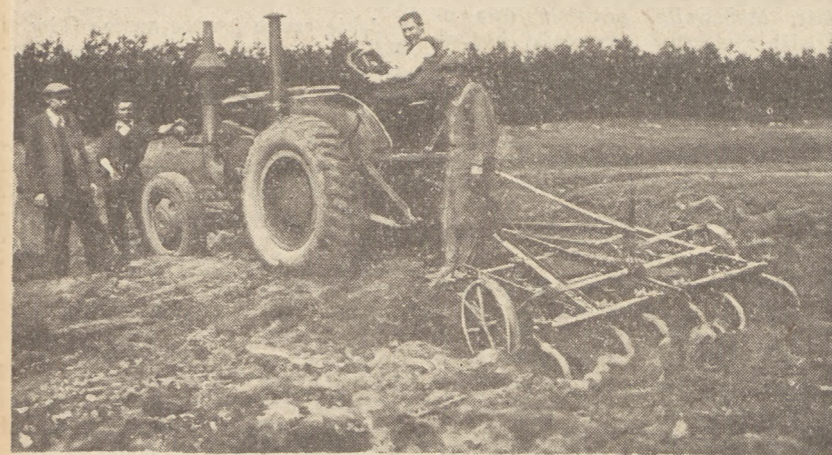
Po 1) co do zalanych łąk Zjednoczenie Węgielne w Sosnowcu, Urząd Wodno-Melioracyjny oraz „opieka państwa” winny złożyć się na udzielenie kredytów i zmeliorowanie łąk, czyli z bagniska wydobyc łąki i oddać je 400 rodzinom „rolników”.

Po 2) o stu dniówkach chłopów-górników (teraz są „chłopi-górnicy”) nie ma co mówić. Ale „czy znaczy to, że jeśli chłop ma pracę w przemyśle to musi zupełnie zaniedbać swój rodzinny kawałek gruntu? A jeśli pragnie po pracy spocząć w sadzie albo podczas urlopu szeroko oddychać aromatyczną wonią łąk, to już mu nie wolno?”

Po 3) Aby więc mogło 400 rodzin spocząć w sadzie i oddychać aromatyczną łąką proponuje się pod firmą „spółdzielni produkcyjnej” zatrudnić na stałe najemne i kwalifikowane siły z rezerwy miejscowych kobiet-wdów, emerytek i emerytów. Uprawa łąk i pastwisk jest wszak bardziej zmechanizowana i sezonowa. A kiedy nawet doliczyć rozbudowę sadów handlowych, ogrodu warzywnego i stawów rybnych to wymieniona armia rezerwowa wystarczy do obsługi tego nowego, wielkiego przedsiębiorstwa (350 ha).

Po 4) Taka „spółdzielnia produkcyjna” nie ma jeszcze swojego statutu, należałoby go zatem ukonstytuować i uprawomocnić. Istotą tego statutu byłoby wprowadzenie „pewnej elastyczności w spółdzielni produkcyjnej w zakresie zapotrzebowania i wykorzystania najemnych sił robotniczych”.

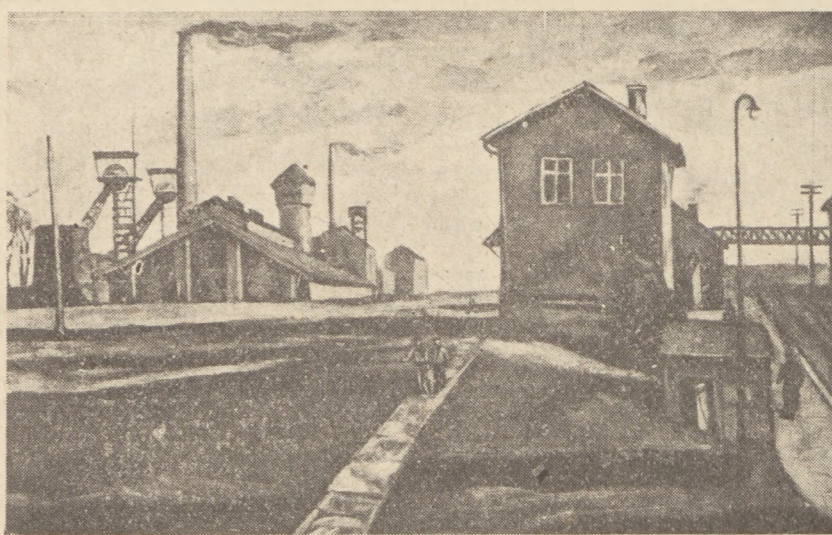
(Dokończenie na str. 2-ej)



Kol. Działach, kierownik zespołu uprawowego w Porąbce, na traktorze.

ziemią. To jest podział, który coś mówi i bagatelizować go nie można. Na 300 ha siedzi 400 rodzin, co oznacza, że „gospodarstwa” walają się między pól a 2,5 hektarami. Mikroskopijne a w najlepszym razie malorolne. Tak, ale obok tych czterystu rodzin z kęsem ziemi było ponad 1000 rodzin bez grudek ziemi. Ten podział grał przed wojną, grał w latach kryzysu, redukcji, obniżek płac i cofania się produkcji przemysłowej. Dawna kolebka Porąbki — ziemia — stała się przyczółkiem dla jednej trzeciej. Dwie trzecie zatapiał los redukowanych, niedoplacanych, skazywanych na pracę po dwa dni w tygodniu, na pracę jednego członka rodziny przy trzech innych, na których już nie w kopalni a na hektarze u „sasiada” czekała odróbka.

W tamtych latach, w osadzie z pozoru górniczej, gdzie głos syreny budził wszystkich mieszkańców, odżył podział na „górników” i „rolników”. I z jaką tendencją? Agrarystyczną!



Kopalnia

Mal. Rafał Pomorski

— Fabryki, kopalnie, cuda techniki, wszystko to zawodzi a ziemia po staremu zawsze uratuje.

Nie było takiego podziału, nie było takiej „filozofii chłopskiej”? A o czymże w takim razie mówią nam powojenne informacje Jelonka. Jeśli nie brać „rolniczo” owych pól, hektara i dwa hektary a przeciwnie, jako działki pracownicze, jeśli brać zatem całą ludność Porąbki za pracowników górnictwa, przemysłu, handlu, transportu i innych instytucji, co odpowiada prawdzie, bo obecnie ponad 90 proc. dorosłych pracuje pozarolniczo — to czemuż to w Porąbce powstały dwie partie PZPR i ZSL. I „obie — jak pisze Jelonek — u nas mocne?”

Pora już odsłonić jeszcze jedną osobliwość Porąbki. Wszystkich gruntów posiada wieś nie 300 ha a 650 ha. Przed stu laty owe 350 ha stanowiły wspólne, gromadzkie pastwiska i łąki. Kopalnie prawdopodobnie wykupiły część tego terenu,

zwołano na podział, do czego w niemałej mierze przyczynili się magnaci, właściciele kopalni. Mieli oni swoje jasne wypracowanie. W tej samej uprawnej, to znaczy mniejsza armia rezerwowa bezrobotnych. Ale po drugiej stronie do walki stawała przecież nie cała gromada — jak to sugeruje Jelonek Stawało 400 rodzin, tych, które jeszcze trzymały w rękę drobne parcele i z tego tytułu rościły sobie prawo do całkowitej sukcesji rzeczywiście gromadzkiej przed stu laty wspólnoty pastwiskowej i łąkowej. A więc rachunek z tej strony wyglądał tak: do czystych górników (1000 rodzin) niech dojdzie jeszcze kryzysowa bieda, a u górników-rolników (400 rodzin) do posiadanej ziemi — nowa ziemia.

Walka owych 400 rodzin była podwójnie beznadziejna ze względu na opór rządu i władz kopalni. Jak również na opór samych wygonów, których żaden plug by nie przeorał. A chlapi parli do podziału pastwisk, aby na swoim własnym hektarze

powtarzać dzieje pana Balcera w Brazylii. Groza kryzysu i głód kazały im rzucić się na zamaryłą ziemię, ale ta sama groza nie złączyła ich we wspólnym wysiłku, lecz rozbiła na 400 indywidualnych prób polepszenia losu każdemu z osobna i na własną rękę.

*

Po wojnie ta „rolnicza” część Porąbki chce oczywiście korzystać i korzysta na równi z czystymi górnikami z otwierających się szeroko możliwości prac pozarolniczych. Ale 400 rodzin „rolników” słyszy o rewolucyjnym przewrocie w warstwie chłopskiej. Retorma rolna — nadzieja, Ziemia Odzyskana — czekają. Szkoły — otwarte. Awans społeczny — wzywa do gminy, do powiatu.

W latach kryzysu z korzyścią, teraz z honoru — nie ma powodu zarzekać się chłopskości i rolnictwa. 400 rodzin organizuje „mocne” kolo ludowe. Wśród tych 400 rodzin 150

Porąbka — ostrzeżeniem i przykładem

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Do czego zmierzają te warunki? Po 1) Stuletni ugor (350 ha), dawną wspólnotę całej gromady definiują wnie przesuwały na rzecz 400 rodzin „rolników”, wyłączając od „spadkobrania” 1000 rodzin czystych górników, jakkolwiek dla nich Porąbka również od pokoleń była rodzinną wsią.

Po 2) Zmierzają na wzór kapitalistycznych spółek czy akcyjnych towarzystw do zorganizowania wielkiego przedsiębiorstwa 400 rodzin „rolników”. Przedsiębiorstwa, któreby na 350 ha zakwitły łakami, warzywami, sadami i stawami rybnymi. Zakwitło pracą małej armii sił najemnych i ona, plus inwestycje obciążałyby budżet „akcyjnego towarzystwa” 400 rodzin nie wzamian dano udziałowy dochód z tytułu włożonej ziemi, czyli mówiące fachowo a tego terminu nie złąk się Jelonek — brać rentę gruntową! Oto cały udział „spółdzielcy” w „spółdzielni produkcyjnej”, wymyślonej wśród 400 „rolników”, „w mocnym” kole ZSL.

Dlatego to redakcja „Spółdzielni Produkcyjnej” nazwała projekt Jelonek „tworzeniem fikcyjnej spółdzielni produkcyjnej”.

— Ale jak się rzekło na początku artykułu i redakcja „Spółdzielni Produkcyjnej” i nasza popelnili przed rokiem błąd, nie dostrzegając, że projekt daje obraz sprzeczności a więc walki dwu sił przeciwnych. Odpowiedzieć na chwilowo górującą, kapitalistyczną w treści i w konsekwencjach — nie! — była to żadna sztuka i zła sztuka!

Odpowiedzieć tylko — „jak wynika z Waszego referatu w Porąbce na obecnym etapie nie można i nie należy zakładać spółdzielni produkcyjnej” — znaczyło nie tylko zostawić bez pomocy tę siłę, która naprawdę szukała drogi do socjalizmu na wsi, ale znaczyło co gorsza — pomieszać jej karty i jeszcze bardziej zagubić w skomplikowanym położeniu. A pamiętajmy, że Porąbka jest przykładem zagadnienia szerszego terytorialnie. „W podobnych warunkach — pisał Jelonek — znajdując się na terenie Zagłębia i Śląska setki jeżeli nie tysiące gromad, czy wieki i one mają czekać aż ostatni kawałek węgla zostanie wydobyty? Co w takim razie należy uczynić, aby te setki hektarów w Porąbce a tysiące hektarów w całym okręgu przemysłowym włączyć do produkcji rolnej?.. To nie moja myśl ale wielu ludzi w Porąbce, pokrywająca się z moim marzeniem”.

Dokonywamy drugiego podziału. 400 „rolników” dojrzało do projektu spółdzielni produkcyjnej po dwóch torach. Kombinowali „interesy” ale widzieli również sprawę. Sprawa otwierała perspektywy na spółdzielnię w zakresie upraw i produkcji — specjalnych. Analogicznie do łąkowych i sadowniczych mogą powstać wikliniarskie, torfowe i górsko-pastwiskowe. Tak rozważano na zebraniach gromadzkich w Porąbce. W tych dyskusjach nie można przeoczyć rozwijającej się wśród chłopów (małorolnych w Porąbce) świadomości gospodarza terenu, świadomości, która ukazuje, jak bardzo potrafią już chłopcy „wnikać w sprawy kraju i dlatego odkrywać u siebie na miejscu rezerwy do włączenia, jak to wielokrotnie powtarzał Jelonek, w realizację Planu 6-letniego. Nie można przeoczyć inicjatywy „rolników” z Porąbki. Wszak pierwsza uchwała zapadła 4 lutego 51 r. — O co w niej szło? O rozszerzenie bazy paszowej. Pod tym względem inicjatywa była duża i czujna. Uprzedzała kryzys roku 51 w hodowli. Co więcej, inicjatywa ta już rok temu odkrywała w centralnej Polsce owe „stuletnie odłogi” i wygony jakie, jeśli nawet figurowały w statystykach, nie brane były dotąd w rachubę ani przez gminne rady ani przez same gromady.

Trzeba doczytać się wyraźnej sprzeczności, wyraźnego konfliktu między „interese” a sprawą w biadaniach Jelonek. „Nie wiem co jest w tej całej sprawie ważniejsze, czy ustępstwa statutowe czy uruchomienie kapitału tysięcy hektarów różnego rodzaju odłogów, obecnie nie uprawianych przez tysiące obywateli w setkach gromad”.

Dostrzeżmy jeszcze jedno. Sprzeczność, o której mówimy, zarysowała się w warunkach nietypowych, a nowych. To, co zaczęli chłopcy w Porąbce widzieć i rozumieć, było pionierskie. Z pionierstwem koncepcji i sprawy spłótni się „interesy” drobnego posiadacza ziemi. Opłatał ją tak, jak jemiola konary dębu. Zdrowe myśli zaścianicy spekulacyjne. I pod ich naciskiem znaleźli się nawet bystrzej się działacze. Ciągnąc sprawę szli na kompromis, jeśli nie ze spekulantami, to ze spekulacyjnymi tendencjami odradzającymi się wśród 400 „rolników”. Fakt, że pogubili się, fakt, że ugięli się przed „interese” renty gruntowej.

Jasne, że Jelonek stał się mimowolnie adwokatem udziałowców renty gruntowej, kiedy wykladał: „mam wrażenie, że właśnie teraz człowiekowi pracy (pozarolniczej) należy pójść na ustępstwa statutowe, aby, jeśli nie może pracować w spółdzielni produkcyjnej, mógł jednak korzystać z dochodu, należnego mu z tytułu wkładu gruntowego”.

Jasne, że adwokatał marzącym o dochodach z renty, kiedy zagadnienie stąd dniówek sprowadzał do absurdu. Cztery bowiem rolników, to

40.000 dniówek. A taką sumą pracy można obrócić nie 300, nie 650, ale ponad 2.000 ha. Po cóż tu zatem którykolwiek z czterech statutów spółdzielni produkcyjnej? Trzeba ustawić piątą.

Trzeba, bo... „pozbawienie członków spółdzielni dochodu z ziemi z powodu niewłożenia pracy, zniechęci zarówno przystępujących (??), jak i pozostałych rolników, którzy w przyszłości mogliby przystąpić”.

Jakże w tej pogroźce nacisk liczących na rentę gruntową. I jakie wystawienie dobrej miny marzyciela, Jelonek — do złej gry.

Od lutowej uchwały w Porąbce minął rok. Po krytycznej odpowie, jaką dała redakcja „Spółdzielni Produkcyjnej” lowcy renty gruntowej stracili zapal i ucihelili. Zagorzali społecznie stanęli wobec pytania: „co w takim razie należy uczynić, aby setki hektarów w Porąbce włączyć do produkcji rolnej?”

Odpowiedź nadeszła z powiatu. Sprawa bowiem Porąbki stała się głośna w całym powiecie będzińskim. Kiedy w Porąbce przestano dyskutować o pastwiskach i łąkach, wtedy to w innych wsiach i gminach wzniósł się fala zebrani i rozważań. Wszędzie powoływano się na Porąbkę. Była ona pierwsza, zbudziła powiat.

— Za pionierskim przykładem Porąbki... dążyć Porąbkę... nie pozostawać w tyle... rozwinąć i upowszechnić współzawodnictwo między gromadami, które pójdą śladem Porąbki... I kiedy „pionierską” gromadę otoczyła legenda, w rzeczywistości znajdowała się ona wówczas w ognie ruchu. Powstały pierwsze spółdzielnie produkcyjne we wsiach Łosie, Ujście, Malinowice, powstały dwa ośrodki społecznej gospodarki hodowlanej w Czeladzi i Rogoźniku, na odlogach i funduszu ziemi, powstało wiele zrzeszeń uprawowych. Pod bokiem Porąbki do współzawodnictwa z nią stanęła gromada Ostrowy Górnicze, tworząc zespół uprawowy dla uprawy stuletnich ugorów.

Dopiero te fakty podzielały z kolei na Porąbkę. „Długo trwały narady aktywistów politycznych i społecznych — donosi Jelonek w ostatnich korespondencjach — zanim odważono się zdecydowanie złożyć Zrzeszenie na podstawie istniejącego statutu, bez wprowadzania do niego zmian”.

Znacząco, że cofnięto się od spółdzielni produkcyjnej do zrzeszenia uprawowego. Było to cofnięcie organizacyjne, ale stanowiło o zwycięstwie ideologicznym, o naprostowaniu drogi.

9 marca podpisał deklarację 11-tu rolników — 5-ciu zesłancom, 3-ch bezpartyjnych. Miał zespół, ale społeczników nie zatrudził ani zniechęcił. Przeciwnie, są jak najlepszej myśli. Teraz będą sukcesywnymi agitatorami, bo teraz lowcy renty gruntowej już ich nie obróca na swoich adwokatów. Teraz są pewni, że pójdzie im tak, jak było ze spółdzielnią gminną. Zorganizowało ją przed czterema laty 20 odważnych, obecnie należy do niej 1250 członków, a obrót spółdzielni idzie w miliony.

Przed orką i siewami zespół uprawowy liczył już 18 członków. Pod uprawę wybrano pastwiska położone na północ od Porąbki. Zaplanowano na początek 20 ha. Pod uprawą znalazło się już 35 ha. Traktor z POM-u w Pszczynie wjechał na stuletni ugor. Aby go zdobyć użyto trzech rodzajów plugów, najpierw talerzowe, potem kultywator i dopiero plugi normalne. Część wiekowego odłogu została ożywniona. Wyrośnie na nim owies, mieszanka zbożowo-strąkowa, lubin pastewny.

Jesień zarysowuje nowy etap prac. Powiększył zespół, szerzej wdrzeć się w martwe legi pastwisk, postawić szosę na płon terogoczny, wysadzić w szerokie rzędy kilka tysięcy wiśni i czereśni.

Jesień zarysowuje z nowymi zadaniami nowe trudności i nowe konflikty. Chcemy na nie zwrócić uwagę.

Póki 18 członków zarysowa i obsiewa 35 ha — trzystu innych „rolników”, a wśród nich 150-ciu z krowami na tę walkę z martwą ziemią spogląda jeszcze spokojnie. Ano, biorą mniej więcej tyle, ileby im przypadło z podziału.

A co powiedzą „rolnicy”, kiedy zrzeszeniowcy zdobędą pod uprawę i bazę paszową 150 — 200 ha?

Trzeba rozważać zagadnienie własności owych 350 hektarów nieużytków. W Porąbce nazywa się je „wiekowym ugorem” i traktuje jako „sprzed stu lat” wspólnotę gromady. Jeżeli wspólnota całej gromady sprzed stu lat, to należy do 7000 tysięcy mieszkańców. Nie tylko do 400 rodzin „rolników”, również do tysiąca rodzin czystych górników.

Jeżeli wiek cały leżały w ugorze i bagnałach to obszar a do uprawienia ich mogło dopiero dojść w Polsce Ludowej, w Polsce, która buduje fundamenty socjalizmu, trzeba iść naprzód nie tylko w technice, ale i w organizacji zagospodarowania tych wielkich odłogów.

Trzeba do dyskusji i prawa decyzji wprowadzić obok „rolników” również czystych górników. Dla nich również to ziemia rodzinna. Ale oni, których w latach kryzysu, głodu i bezrobocia nie ratował ani jeden zagon ziemi rodzinnej, najbardziej dziś mają moralne prawo powiedzieć lowcom renty gruntowej: *rodzinną to ziemią, naszą — społeczną!*

Jan Aleksander Król

STANISŁAW CIEŚLAK

Wykorzystujemy lepiej dźwignie wymiany

W POLSCE Ludowej uspołeczniony handel rozstrzygnął już, w zasadzie na swoją korzyść, tę wielką bitwę, która z różnym natężeniem trwa od ośmiu blisko lat o opanowanie obrotów towarowych między miastem i wsią.

Ale walka przeciwko dawnemu uprzywilejowaniu na rynku kulaka, przy jednoczesnym upośledzeniu biednego i średniego chłopca, walka o ograniczenie i likwidację spekulacji, przechwytywającej owoce pracy robotnika i chłopca, walka o uczynienie z wymiany (dzięki jej wpływowi na produkcję) dźwigni budownictwa socjalistycznego — nie tylko nie wygasa, ale ulega dalszemu zaostrzeniu.

O ile w początkach naszej planowej gospodarki walka ta miała charakter przeważnie zewnętrzny, dziś toczy się niejednokrotnie nie tylko wokół a więc zewnątrz spółdzielni ale i wewnątrz spółdzielni gminnych i PZGS-ów oraz ich komitetów członkowskich i rewizyjnych, do których jak szczerzy z tonącego okrętu, usiłują się wciągnąć wyparcie z siedla elementy kapitalistyczne i spekulanci.

Dla wygrania tej bitwy potrzebne jest większe uczulenie aktywu GS-ów i PZGS-ów na krytykę ze strony korespondentów robotniczych i chłopskich, uważniejsze przysłuchiwanie się wypowiedziom chłopskim na zebraniach wyborczych i sprawozdawczych, staranniejsze i częstsze analizowanie przez aktywu GS-ów i PZGS-ów gospodarczych, społecznych i politycznych skutków swej pracy.

Jakże często jeszcze nasze GS-y i PZGS-y w odpowiedzi na słuszną krytykę terenu uciekają się bądź do formalnego zatwierdzenia sprawy bądź uchylają się wprost od odpowiedzi.

Tak np. bez żadnej pomocy ze strony sieradzkiego PZGS-u toczy się od blisko pół roku w gromadzie Kuśnie, gm. Barczewo, pow. Sieradz uparta ale wciąż jeszcze nierozstrzygnięta walka całej niemal gromady z głównym heroldem spekulacji na tym terenie, Franciszkiem Wojtyśkiem, który trzęsie komitetem członkowskim i całą spółdzielnią, ba, ma nawet wpływy w Gminnej Radzie Narodowej oraz bliżej jeszcze nie zdemaskowane punkty oparcia w powiecie i przy ich pomocy terroryzuje mało i średniorolnych chłopów, przechwytując się (jak pisze korespondent): „mnie nikt, nie robi, a gdyby mnie ktoś zaatakował, to zdążyć się z nim rozprawić”.

Stanowisko PZGS-u w Sieradzu nie należy nieszczęśliwie do wyjątków, podobną postawę wobec krytyki terenuwej przejawia wiele jeszcze GS-ów i PZGS-ów, nawet z powiatów od sieradzkiego bardziej zaawansowanych w rozwoju gospodarczym i politycznym.

Oto np. z powiatu Starachowice, ze wsi Pawłowice pisze ob. Wincenty Orłowski, że sklepowa „ob. Mazur sprzedaje swemu dobremu znajomemu 5 litrów octu, a przyjdzie drugi to dla niego już nie ma wcale”. Nie może się również Orłowski „ogodzić z tym, że w spółdzielni pracuje niejaki Rutkowski, „który ukradł 800 tys. zł (w starej walucie), przez dwa lata wynosząc jak szczerz najlepszy materiał ze spółdzielni, a przecież były to pieniądze mało i średniorolnych chłopów. Niektórzy, co to widzą i wiedzą, mówią, że jeśli w tej spółdzielni tak się robi, to co dopiero byłoby gdybyśmy założyli u nas spółdzielnię produkcyjną, chodzilibyśmy boso i głodno, bo by tam takie samo złodziejstwo także powstało”.

List wdruje z redakcji do PZGS-u w Starachowicach, gdzie leży już od roku orotokół rewidenta, stwierdzający nadużycia Rutkowskiego i informujący, że sprawę skierowano do prokuratora.

Sądzić, że PZGS w Starachowicach, mając takie akty w rękę, przystępuje natychmiast w oparciu o Powiatowy Komitet Partii do rozegrania w Pawłowicach wielkiej bitwy o oczyszczenie i umocnienie spółdzielni, jako ważnego (w przekonaniu samych chłopów) mostu prowadzącego do spółdzielności produkcyjnej?

nie podobnego, PZGS ogranicza się do formalnego zasięgnięcia opinii aktywu gminnego o pracy Mazur i Rutkowskiego (aby mieć „papierkę na papierkę”). Aktywu stwierdza, że „ob. Mazur jest jedną z najlepszych ekspedientek na terenie gminy, wywiązując się ze swych obowiązków nienagannie, również i ob. Rutkowski nie zasłużył sobie na taką nagannę”.

Mimo bijącej w oczy sprzeczności: protokołu rewidenta, listu korespondenta i opinii aktywu — PZGS przesyła redakcji w odpowiedzi na zarzuty korespondenta... odpis opinii aktywu gminnego. Bardzo nierasobliwie. Oczywiście redakcji to nie wystarczyło, zażądała zbadania sprawy przez województwo, zarzuty korespondenta okazały się całkowicie słuszne, wniośki wyciągnięto, niestety, tylko w stosunku do Mazur i Rutkowskiego, choć PZGS w tym wypadku wykazał o „piętro” wyższą, karygodną obojętność i niedbałość.

II

Aktyw GS-ów i PZGS-ów (zwłaszcza ta jego przeważająca część, która pracuje z ogromną ofiarnością i poczuciem odpowiedzialności) mogłoby się słuszenie zapytać, czy inne instytucje pracują zupełnie bez błędów, dając go więc do licha, najmniejsze nawet uchybienie w pracy GS-ów i PZGS-ów (nie zawsze przez nich w całości zawinione) stają się natychmiast przedmiotem narad partyjnych, obrad terenowych organów władzy ludowej, zajmu-

ją coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej?

To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe, wynika bowiem ze specyfiki obecnego etapu rozwoju, z nowych zadań, jakie stanęły przed nami w trzecim, decydującym o całości naszej sześciolatki, roku Planu 6-letniego.

W okresie bowiem, gdy klasa robotnicza rozwija z ogromną ofiarnością w przyspieszonym tempie nasz przemysł, gdy chłopstwo pracujące przy pomocy władzy ludowej i klasy robotni-

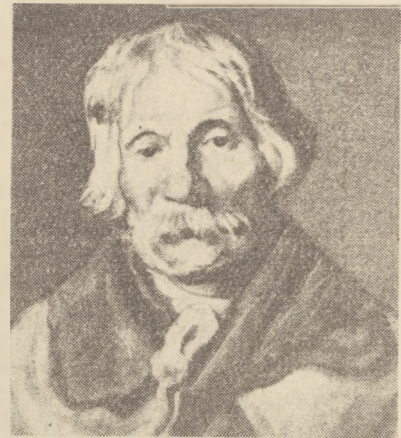
czących coraz więcej miejsca w prasie centralnej i terenowej? To natężenie krytyki pracy GS-ów i PZGS-ów nie jest przypadkowe

STEFAN KIENIEWICZ

WALKA KLASOWA NA WSI W POCZĄTKACH XX WIEKU

(Czwarty rozdział referatu p. t. „Wieś polska na początku XX wieku”)

JAKIEZ problemy stawały przed wsią na tym etapie gospodarczego, społecznego i kulturalnego rozwoju? Po części jeszcze były to problemy dawne — stosunku do dworu. Żyła nimi w pierwszej linii biedota, zmuszona niegdą do zarabiania czy też dorabiania na folwarku. Tu po dawnemu panował system wyzysku. Latem dzień pracy trwał od 4—5 rano do 8—9 wieczór; zimą „od ciemka do ciemka”. Komornik wielkopolski za kąt w czworaku, za skąpy deputat i utrzymanie krowy musiał wychodzić do dworu wraz z całą rodziną niekiedy i z donajętą „posyłką”. Dwór nie dawał mu przy tym gwarancji zatrudnienia i caloroczny zarobek rodziny robotniczej sprowadzał się nieraz do 200—300 marek. Płace robotników służyły za folwarku wzrastały w związku z chłodzeniem „na Saksy”, ale zbijane były z kolei przez sezonowców z kordonu. Ogólna zwykła płac w słabym tylko stopniu dotykała stałej czeladzi. Karę cielesną w stosunku do robotników rolnych zniesiono dopiero w 1900 roku; i po tej dacie parobek nawet w razie obicia nie miał prawa porzucić służby przed terminem. Musiał też posiadać książeczkę służbową, a za samo namawianie towarzyszy pracy do strajku groził mu rok więzienia. Pracodawca miał wszelkie prawo oddalenia nieposlušnego lub nieudolnego robotnika; mógł też ścigać przez policję uchylającego się od pracy. Gorszy był jeszcze los proletariatu rolnego w Królestwie. Również i tutaj komornik z nieodłączną „posyłką” pracował dla dworu w warunkach na pół pańszczyźnianych. Dniówka wyrobnika na własnym włóknie (mężczyzna 35—40 kop., kobieta 20—30 kop.) wynosiła mniej niż połowę tego, co mógł on zarobić w Niemczech. Jeszcze prymitywniej żyła czeladź folwarczna w Galicji. „Mieszkanie w czworakach, pisać Bujak, złożone są dotąd z reguły z jednej, brudnej i pozabawionej podłogi izby, w której w zimie drób i prosięta się mieszczą. Służba bezżenna sypia po folwarkach i u chłopów, z reguły w stajniach na wyrach lub na strychach nad stajniami”. Również i tutaj prawo tolerowało wobec czeladzi karę kija.



Mal. Piotr Michałowski

Wielką transakcją korzystną w Poznańskim bogaci chłopcy nie mieli żadnych praw do lasów, ale dobrobyt ich wzrastał i tak nieprzerwanie grunta folwarczne w drodze parcelacji przechodziły z rąk w ręce. Istniał natomiast konkretny antagonizm między obszarnikami a posiadającym chłopstwem w Galicji. Tu bowiem obszarnicy mieli w ręku władzę polityczną i sprawowali ją na własną korzyść. W radzie powiatowej, w sejmie, w Kole Polskim była większość szlachecka; zandarm, starosta, namiestnik byli na usługach szlachty. Odczuwał to chłop przy rozkładzie podatkowym i przy rozdziale subwencji rządowych; przy egzekwowaniu szarwarków i składki szkolnej; przy awansowaniu na urzędy synów chłopskich. W teorii połowa miejsc w sejmie należała się chłopom; w praktyce szlachta uznawała za niedopuszczalny jakikolwiek udział chłopów w życiu publicznym. Przeciwnie natomiast w rzeczywistości wzrastał coraz potężniejszy opór uświadomiałego się chłopstwa; na tym tle wyrósł polityczny ruch ludowy, który podjął walkę pod hasłem: chłopcy obierajcie chłopów.

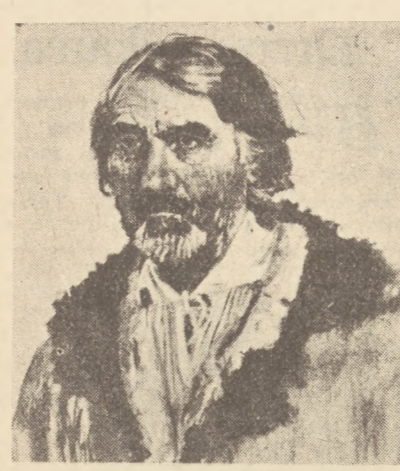
W tym ciężkim zmaganiu się z obzem feudalnym ruch ludowy pełnił w Galicji bez kwestii rolę postępową, jakkolwiek nie wykraczał poza ramy kapitalistycznego systemu. Ludowcom bowiem służył do udziału w istniejącej władzy, o większy wpływ na istniejącą władzę — nie zaś o gruntowną reformę ustroju. PSL domagało się bezpośrednich i tajnych wyborów, bo miało dość systemu „kielbasy wyborczej”. Ale nie miało przeciw ordynacji kuralnej, która biedotę wiejską w ogóle pozbawiała głosu. Postulował ludowi, stawiając w Sejmie poprawki do ustawy lowieckiej, szkolnej czy drogowej, odzyskiwali się najstaranniej „od Marxa i Lassalle’a”. Program „prze-

szowski” Stronnictwa z 1903 roku zawierał wprawdzie punkt o „należycym ułatwieniu parcelacji obszarów dworskich”, lecz oczywiście chodziło tu o wykup ziemi — przez tych, którzy by mieli za co ją nabyć. Skoro PSL rezygnował z prawdziwej reformy rolnej, skoro nie uderzało w sam byt obszarnika, mogło już łatwo dojść z nim do porozumienia pod hasłem: „Mali i wielcy rolnicy, łączcie się”. Łączyli się — oczywiście przeciw proletariatu.

Tę możliwość porozumienia z chłopem posiadaczem wyzysku uważano dobrze i w przeciwnym — ziemliśko-burżuazyjnym obozie. W miarę wzrastania niebezpieczeństwa socjalizmu klasy posiadające — burżuazja, ziemliństwo — wszędzie po świecie spieszyły się z rozszerzeniem swej bazy masowej, właśnie na drobnych rolników. Przykład dawały w Polsce zarząd zaborcze. Przeciwnie włości rentowe pruskie, do których zrazu dopuszczano także Polaków, i kredyty parcelacyjne Banku Włościańskiego, to była świadoma akcja klas panujących w Niemczech i w Rosji na rzecz umocnienia średniej własności chłopskiej. Korzyści sojuszu z chłopem, niedawnym poddanym, zrozumiała najwcześniej szlachta wielkopolska. W imię słusznych postulatów: obrony wiary, języka, narodowości, zagrożonych warsztatów pracy wciągała szlachta zamożne chłopstwo pod własną komendę. Charakter wzajemnej współpracy określa najlepiej słowo „patronat”, którym posługiwało się kierownictwo kolek rolniczych i spółek zarobkowych. Prawda, że w tym sojuszu z obszarnikiem bogaty chłop stawał się znowa coraz silniejszym partnerem; że kierownictwo nominalnie sprawowane przez kler przechodziło de facto do szlachty do burżuazji, nawet do drobniomieszczastwa. Aż do roku 1914 nie przeszło jednak do chłopcy i żaden chłop z Poznańskiego aż do wybuchu wojny nie trafił nigdy do sejmu pruskiego, ani do parlamentu.

W Królestwie Polskim, przy sfluwieniu życia politycznego sojuszu obszarnika z bogatym chłopem ujawnił się znacznie później, dopiero w atmosferze walki z rewolucją 1905 roku. Ale przesłanki dają się zaobserwować znacznie wcześniej. Cała robota oświatowa prowadzona na pół tajnie na wsi przez Ligę Narodową podsyta była tendencją do zwężania zamożnego chłopstwa z burżuazją, a pośrednio z ziemliństwem. Płacówki oświatowe rozmieszczone w terenie wykorzystywały w następstwie Narodowa Demokracja.

Mogłoby здаwać się, że w Galicji konserwatyści atakowani tak ostro



Mal. Teodor Axentowicz

przez ruch ludowy nie zdobędą się na zmianę frontu wobec chłopcy. Ale właśnie fakt zagrożenia dotychczasowych władców kraju zmuszał bardziej inteligentnych stańczyków do szukania kompromisu z wczorajszym przeciwnikiem. Już w roku 1896 „klub neokonserwatywny” w Krakowie wysuwa program podniesienia chłopcy: przez kredyty na komasację, przez ograniczenie działań rodninnych, przez włości resztowe na wzór pruski. Autorowie tych planów: Jaworski, Krzyżanowski, Hupka, stają się wkrótce głównymi rzecznikami sojuszu ze Stapińskim — przeciw Daszyńskiemu.

Gdy wieś uboga znosiła eksploatację ze strony obszarników, a wieś zamożna pakowała z tymi obszarnikami, jasnym było zjawiskiem rozchodzenie się interesów pomiędzy dwoma odłamami wsi. Istotnie, wyrastał tu nowy klasowy konflikt, którego znaczenie miało rosnać z każdym dziesięcioleciem.

Geneza tych spraw, słabo zbadana, jest trudna do uchwycenia, mało co mówi o niej nawet publicystyka postępową. Póki istniało poddaństwo, linia podziału między warstwami posiadaczy i bezrolnych pozostawała płynną, a ziemia obciążona pańszczyzną nie dawała użytkownikowi przewagi. Dopiero po uwłaszczeniu klan gospodarczy wyodrębnił się na stałe od biedoty i zaczął skutecznie wpływać na losy wsi. Po pierwsze: część bezrolnych pracowała u gospodarzy jako czeladź lub robotnicy dzienne. Jak była liczna ta grupa najmiltów, nie wiemy. Arabki dorachował się w Królestwie niespełna 8 tysięcy rodzin chłopskiej czeladzi, co by dawało raptem 1,3 proc. ogółu bezrolnych. Ale skądinąd wiemy, że chłopcy nie zatrudniali tak jak dwory całych rodzin, którym musieliby wydawać ordynaryj, tylko bezżennych

parobków i dziewczki, utrzymywanych na stole. W Galicji 63,5 proc. nielicznej skądinąd grupki bezrolnych pracowało właśnie w włościach. Zdaniem Sujaka ta służba włociańska płatna była na ogół lepiej od folwarcznej. Z Poznańskiego natomiast źródła pamiętnikarskie dostarczają dość materiału do bezwzględniego wyzysku stosowanego właśnie przez chłopów-dorobkiewiczów wobec służby najemnej.

Dalszą domeną wyzysku uprawianego przez bogatych chłopów było wynajmowanie sn rąk. W Galicji 82 proc. gospodarstw niżej 2 ha; w Królestwie 84 proc. gospodarstw niżej 1,5 ha, a 30 proc. w granicach 1,5 — 7,5 ha nie posiadało koni. Co to znaczyło, stwierdzał burżuazyjny ekonomista, Staniszewski: „Gospodarz bez koni nie ma nawozu, w czasie robót polnych musi wynajmować sprzężając i zaprzędać się z tej przyczyny bogactwem, wreszcie musi uprzążyć rolę wtedy, kiedy bogactw uprawę swoją skończy, tj. już po czasie”. Z tym wiązało się dalsze zagadnienie: lichwy uprawianej przez bogaczy wiejskich w stosunku do biedoty. Dwory w początku XX wieku zaprzęstały na ogół rozporządzania na wsi drobnych sum na odrobek. Szeroko za to podjęli te praktyki więksi gospodarze.

Z kolei wchodził w grę problem rządów bogaczy w gminie. We wszystkich trzech dzielnicach ordynacji wyborcze odsuwały bezrolnych, niekiedy też małorolnych, od udziału w samorządzie. W Galicji biedota wiejska dopiero w 1907 roku zdobyła prawo głosu, i to tylko do parlamentu, nie do sejmu. To znaczy, że do roku 1907 z potrzebami tej grupy włościach mogli nie liczyć się żaden polityk. W Poznańskim do sejmu pruskiego głosował ogół mieszkańców, lecz głosy proletariatu, wpisanych do tzw. trzeciego kła wyborczego, nie miały większego wpływu na wynik wyborów. W tych warunkach urzędy wójtów, sołtysów, ławników sfałszywały się apanażem małych, bogackich klik. A te kliki z kolei umiały wykorzystać swą władzę — samostną i poręczoną — w zakresie spraw podatkowych i porządkowych przy ew. podziale pastwiska gminnego, przy każdej sposobności korzystniejszego zarobku. W miarę kurczenia się parcelowanych folwarków musiały potęgnić antagonizmy klasowe wewnątrz wsi. W Piotrkowskim i Radomskim, na Podlasiu, w Galicji zachodniej trafiały się już na progu stułecia powiaty, w których dworów zostało niewiele. Tu bogacz wiejski, spadkobierca dziedzica, wchodził w jego rolę i brał też na swe barki rosnący ciężar ludowej nienawiści.

Aż do początku XX wieku nienawiść ta nie znajdowała zewnętrznego wyrazu. Jeśli ogół chłopstwa był zapóźniony w stosunku do innych klas pod względem oświaty i wyrobienia politycznego, to biedota wiejska była zapóźniona podwójnie. Bogacza, nawet średniaka stać było na prenumeratę gazet, na kształcenie dzieci, nawet na przeciwstawienie się władzy. Proletariusz i półproletariusz czuł się znacznie bardziej bezbronny, miał trudniejszy awans społeczny, luźniejszy kontakt z oświatą, nawet w Wielkopolsce. Nielatwo było biedocie wiejskiej występować przeciw bogaczom, wówczas gdy jeszcze toczyła się walka ogółu chłopstwa z obzem obszarniczym. W imię tej walki przywódcy PSL operowali w Galicji hasłem solidarności całej wsi. W Królestwie znowuż znaczna liczebność i siła gatunkowa średniego chłopstwa łagodziła i opóźniała narastanie konfliktów między elementami skrajnymi. Potrzeba było nowych, gospodarczych i politycznych przełomów, które wyprzodkowały na widownię biednego chłopcy, już w samodzielnej roli, m. in. w roku 1905.

Wzrost aktywności i samowiedzy chłopskiej, przy równoczesnym kruczeniu się obszarnictwa wzmacniał rolę odgrywaną przez ludność wsi w życiu całego narodu. Postępowcy poprzednich pokoleń marzyli o dniu, w którym wyzwolony i oświecony chłop ujmie w ręce swe losy kraju. Zdawało się, że dzień ten już nadchodzi. Jakże były już odległe czasy, gdy lud nieuswiadomiony należał przez rewolucjonistów do dawno podstępem zaborczym. Teraz ten lud w coraz większym mierze stawał sam do walki z obcymi rządami. Dojrzejąc wiedź odczuwała coraz poważniej przekoźdy stawiane jej życiu przez obcy ucisk, przez rozeznokowanie kraju, przez suż mniej lub więcej otwarty między obcymi rządami a polską klasą posiadającą. Wzrost i na wsi poczucie polskości. Najjawniej działo się to w zaborze pruskim, gdzie rosnący napór Hakaty groził narodowi śmiertelnym niebezpieczeństwem. Tutaj sukcesy odnoszone przez żywił polski w walce o ziemię były głównie zasługą chłopcy. W Królestwie w 1904 r. większość gmin wiejskich zażądała polskich szkół i polskiego języka urzędowego. A i w Galicji nie było przypadkiem, że postulat „wyodrębnienia” kraju i rozszerzenia autonomii znalazł silniejsze poparcie w Stronnictwie Ludowym, niż w ugrupowaniach mieszczańskich. I nie to, że patriotyzm krzewiły się w chłopskich sercach byłwał eksploatawany przez emigrację, że w ręku niesiumiennych agitatorów przerażał niekiedy w szowinizm antyniemiecki, lub antyukraiński. W szerszej perspektywie ważne jest dla nas to, że w ogniu walki toczonych z dawnym wyzyskiem feudalnym, z nowym wyzyskiem kapitalistycznym chłop dorastał zarazem do pojmowania spraw ogólnonarodowych. Ze sposobili się już do objęcia — w jednym szeregu z klasą robotniczą — stanowiska gospodarza kraju.

(Następny i ostatni rozdział pracy omawia udział biedoty chłopskiej w ruchu rewolucyjnym 1905 r.)

Poznajcie naszych Czytelników

(Dokończenie ze str. 3-4)

Płyną miesiące. I oto Maria może podsumować swą pracę. W przeciągu roku 1951 chłopcy z Kornat przeczytali 1451 tomów z biblioteki gromadzkiej, a 624 tomy pożyczili bezpośrednio od niej. Na 50 chałup wioska abonuje 105 egz gazet, a mimo to — jak Maria pisze — „co ciekawsi idą jeszcze do sąsiada, który ma inną gazetę”...

Zespół czytelniczy, przygotowujący się do konkursu pod kierownictwem Marii składał się z 13 osób: 3 dziewczęta w wieku szkolnym, 2 traktorzystów, 3 małorolnych, 3 robotników rolnych z PGR-u i 2 średniaków. Wszyscy przysłali ankiety na konkurs, każda z obowiązkowymi 5 tomami i wypowiedzią. Przejrzałem je; nie potwierdza się ani jeden z tytułów książek. Maria mówi o swoim zespole: — „Do zespołu wybrałam ludzi najbliższych w czytaniu, aby ich podciągnąć i zachęcić do czytelnictwa, dlatego wypowiedzi są słabe, napisane wlasnoręcznie. Nie po to zgłaszałam zespół do konkursu, aby zdobyć odznakę brązową lub srebrną, bo to nie wyróżnia trudnej dwuletniej pracy i agitacji oświatowej — ale po to, żeby jak najwięcej ludzi uświadomić i zemiścić się na konającym kapitalistycznym ustroju za to, że nie pozwolili mi się uczyć”.

Maria Waleczak otrzymała srebrną odznakę przewodnika czytelniczego a jej zespół pierwszą nagrodę w postaci 80-tomowej biblioteki. Ale najpiękniejszą nagrodą dla Marii jest świadomość, że z zafananej wsi, gdzie książek i gazet prawie nie czytano, zrobiła dzięki swej agitacji jedną z produkujących w czytelnictwie gromad woj. poznańskiego.

UCZESTNICY ZJAZDU MOWIĄ...

MŁODY, może 20-letni robotnik rolny z Ruchowa, powiat Komin. Mówi prędko, trzymając rękoma mównicę, jakby się obawiał, że ją wywróci.

— „Przeczytane książki nauczyły mnie lepiej służyć Ojczyźnie, sprawie wolności, sprawie utrzymania pokoju. Nauczyły mnie odróżniać dobre od złego. Zrozumiałem cel walki proletariatu i cel przekształcania naszej gospodarki rolniczo - przemysłowej w przemysłowo-rolniczą”.

Hełena Banięcka z Rudy, powiat Jarocin. — „Dotychczas o pochodzeniu życia na ziemi wiedziałam tylko z religii. Po przeczytaniu książki Michajlowa „O pochodzeniu życia na ziemi” oczy mi się otworzyły. Widzę jak nas oszukiwano, aby dłużej utrzymać w zafolaniu”.

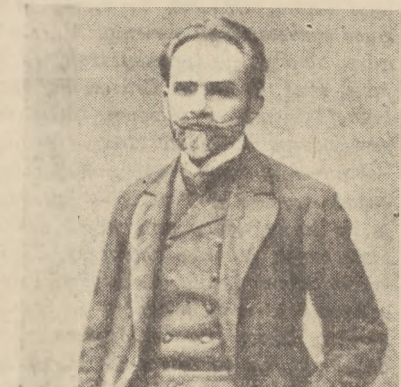
Krzysztof Lehrke z Pniew, powiat Szamotuły. — „Poprawa bytu chłopcy na wsi polega na zjednoczeniu rozproszonych gospodarstw chłopskich, pozbawionych możliwości posługiwania się traktorami i nowoczesnymi maszynami rolniczymi. Książki, które przeczytałam uczą mnie i przekonują o tym jak wielkie korzyści daje wś produkcyjna”.

Waleczkówna z gromady Kornaty, pow. Września: „Nie wiedziałam co zrobić z maciorą, która stale dusiła prosięta. Pomogła mi książka p. t. „Wychów świni” Kiebanowskiego. Obecnie już wiem jak unikać na przyszłość takich wypadków i jak zwiększyć pogłowię trzody chlewnej. W przyszłym roku będę mogła zająć kontraktować 12 świni”.

Na mównicę wchodzi siwutka staruszka, wdowa Stefania Bartuła z gromady Ostrowo w pow. gostyńskim. Długie oklaski. Lekko zniecierpliwiona taką owacją kiwa ręką. Mówi o swej młodości, jak to była alfabetką i „przez lata całe chodziła jak ślepa”. Dziś czyta, nawet synom nie pozwoli się wyprowadzić. A chłopaków ma na schwał, matczyrna duma drży w jej głosie, gdy o nich wspomina. Bronisław jest kierownikiem PGR-u, Ludwik, przodownikiem pracy w cukrowni, Józef do niedawna produkujący junak brygady SP uczy się na tokarza w Chrzanowskiej Fabryce Lokomotyw. Antek jeszcze w szkole, ale „jak skończy pójdzie na technikum”. Oczy jej wilgotnieją, gdy na zakończenie rzuca: — Ja... jestem szczęśliwa... — dalej słów jej braknie, są zresztą niepotrzebne, sala rozumie jej radość i — oklaskuje.

Ankiety, tysiące ankiety czytelniczych leżą przede mną: Franciszek Plewiński, 53 lata, małorolny, Sławim pow. Ostrowo Wlkp.; Alfons Wróblewski, 26 lat, małorolny, Słonawy pow. Oborniki; Helena Frąckowiak, 20 lat, robotnica rolna, Kornaty pow. Września; Stanisław Grzeszkowski, 48 lat, kierownik świetlicy, Garki pow. Ostrowo Wlkp.; średniak — Marian Skorupka z tej samej miejscowości, Nazwiska i nazwiska. Szperającemu w tym bogatym materiale, kopalni tematów dla literata i dziennikarza, nasuwa się uwaga: Przekazać te wszystkie wypowiedzi do pracowni socjologa, zajmującego się przemianami naszej dzisiejszej wsi. Nie można pozwolić na zniszczenie takich zbiorów dokumentów, świadczących o olbrzymim przełomie dokonywanym i dokonywanym się w psychice polskiego chłopcy.

STEFANA ŻEROMSKIEGO



Stefan Żeromski

Oskarżenie ustroju, oskarżenie „pruskiej drogi” kapitalizmu w stosunkach wiejskich dokonywa się w powieści pozytywistycznej najczęściej w sposób pośredni. Wyjątek stanowi tu powieść Konopnickiej — i nie bez przyczyny Żeromski tak często będzie cytował jej słowa wiersza: „Pospęna rzecz jest ta siwa siermięga”. Od takich wierszy Konopnickiej jak „Wolny najmita”, „Z szopką”, „Wsiąłem ci ja w czarną rolę” najprostszą drogą ideaowa prowadzi do chłopskich nowel Żeromskiego.

„Ale Konopnicka — powtórzmy — to zjawisko wyjątkowe w poprzędkającej Żeromskiego literaturze, która oskarża ustrój, oskarża „pruską drogę” kapitalizmu w stosunkach wiejskich tylko w sposób pośredni. Inaczej — w „Zapomnieniu” i „Zmierchu”. Niedola Obali, to niedola nędzarza, którego całym mieniem są „dwa morgowiny płachu lotnego”. Niedola Gibaly, to niedola komornika, którego półfeudalną jaskrawość, prowokacyjność opisu, jego ideaową funkcję — ten wypadek u Żeromskiego na pewno nie zachodzi: „Przejmujący, okrutny, wstrętny, obrzydliwy płacz” bitego Obali, jego „nogi porośłe gnojem, czarne z wykrzywionymi palcami, z paznokciami jak u zwierzęcia, z piętami splaszczonymi i wepchniętymi w tył”, ucisk taśmy, która „wrzyna się w kark i ramiona, wyciskając na koszułi czarną pręgę cuchnącego potu” — z takich właśnie szczegółów powstaje obraz nieudolnej nędzy chłopcy i jego katorżniczego trudu, obraz, który apelując do fizycznej wrażliwości wymusza wprost u każdego czytelnika współczucie dla cierpiących, protest przeciw ich krzywdzie. Ale na wywołaniu tej elementarnej ludzkiej solidarności z krzywdzonymi pisarz nie porzasta. To tylko szczybel, tylko środek emocjonalnego zaangażowania czytelnika w odkrywany konflikt społeczny.



Powrót z pola.

Mal. Ludwik Maciąg

I tu natrafiamy na drugą najistotniejszą nowatorską cechę tych nowel. Słusznie zauważono, że Żeromski rozpoczyna „Zmierch” w momencie, w którym wczesny pozytywista zakończyłby swe opowiadanie — w momencie, gdy zdewastowany folwark zmienia się w dochodowe przedsiębiorstwo kapitalistyczne.

Późniejsza twórczość pozytywistów zerwała z tą optymistyczną apoteozą kapitalistycznego postępu technicznego w rolnictwie. W drugiej swej fazie nie przechodziła ona obojętnie obok niedoli chłopskiej. Ale z reguły jako przyczynę jej wskazywała nie strukturę ekonomiczno - społeczną kraju, lecz dodatkowe czynniki, pogłębiające tę niedolę, lub zbieg wydarzeń wynikających z indywidualnych cech ludzkich.

cy, bo nie o sprawę chłopką w nim przecież idzie. Ale przypomnienie powyższe wydaje się konieczne: postawa bowiem doktora Piotra to właśnie komentarz ideowy do „Zmierchu”, komentarz rzucający zarazem światło na pospólnie źródła krytyki społecznej Żeromskiego — proletariacką krytykę ustroju kapitalistycznego.

Oskarżenie pisarza wycelowane jest więc bezpośrednio przeciw ustrojowi ekonomicznemu, który zachował obszarnicze latyfundi, podczas gdy miliony chłopów wegetować musieli na swych karłowatych gospodarstwach, bezpośrednio przeciw ustrojowi ekonomicznemu, który umożliwiał obszarnikowi nieskrępowaną eksploatację chłopskiej siły roboczej — konkretnie: przeciw kapitalizmowi pruskiemu z charakterystyczną dlań dominacją obszarnictwa i licznymi pozostałościami feudalizmu. Pozostałości te oczywiście przetrwały również w sferze nadbudowy — Żeromski z oburzeniem piętnuje to poniżenie i niepełnoprawność chłopcy, która pozwalała dziedzicowi bezkar-

nie zmasakrować kradnącego deski Obalę, wymierzyć mu „sprawiedliwość” feudalną, zanim sąd wymierzy mu sprawiedliwość burżuazyjną.

Wytwórny pan Alfred, który częstując swego gościa papierosem poucza równocześnie Lalewicza jak należy „bić w mordę” i sam bierze w tym udział — to prowokacyjne wobec czytającej publiczności wyjawienie miało swój sens głębszy — polemizowało z oportunistycznym stosunkiem do obszarnictwa, jaki — zwłaszcza w sprawie chłopskiej — cechował powieści pozytywistycznej. Podobnie jak źródło niedoli chłopskiej poszukiwała ona nie w ustroju ekonomicznym, lecz

w komplikujących go czynnikach dodatkowych, tak bezpośredniego sprawcę krzywdy chłopskiej widziała nie w obszarniku, lecz w niższych przedstawicielach administracji dworskiej, w samorządzie gminnym, w oszustach spekulujących na ciemnocie chłopskiej itp. Dopiero Żeromski ustala prawidłowo dwa bieguny jednego z podstawowych antagonizmów nurtujących wówczas wieś polską. Zbliżające się do tego ujęcia utworu pokolenia pozytywistów, np. „Z włamaniami” Konopnickiej czy „Po pogrzebie” Świętochowskiego są chronologicznie późniejsze od omawianych opowiadań.

Realizm omawianych nowel Żeromskiego ograniczało to, że ich chłopscy bohaterowie znoszą swą krzywdę z całkowitą uległością — niewiedzącą pozostała dla pisarza żywiołowe przejawy chłopskiego protestu przeciw obszarnictwu uciskowi, jakkolwiek w rzeczywistości choćby sprawa serwitutów leńszych prowadziła często do krwawych zatargów między wsią a dworem.

Interpretacja utworu literackiego powinna przyporządkować go ideologii określonej klas społecznej względnie jej frakcji. Wiemy dobrze, że idzie tu o obiektywną zgodność ideologiczną, a nie o świadomą intencję pisarza. Ale nie dość jasno uświadomiamy sobie, że poza granicami realizmu socjalistycznego istnieją niekiedy utwory literackie „ideologicznie niedookreślone”, które służąc mogą różnym (zwłaszcza zbliżonym) warstwom społecznym. Ten właśnie przypadek zachodzi z opowiadaniem chłopskimi Żeromskiego. Krytyka obszarniczego władania ziemią, obszarniczego wyzysku pracy najemnej, poniżenia i upodlenia chłopskich stanowią w o-kresie, o którym mowa wspólnie odcieni ideologii proletariatu rolnego (proletariatu w ogóle) i ideologii drobnego posiadacza (tj. mało i średniorolnego chłopcy), usunięcie tych niesprawiedliwości społecznych — wspólne żądanie tych dwóch klas społecznych. I dlatego opowiadania Żeromskiego mogły być drukowane w „Głosie”: były zgodne, jeśli nie z celami strategicznymi samej redakcji pisma, to w każdym razie z jej ideologiczną taktyką, ale mogłyby również służyć na wsi jako materiał agitacyjny dla rewolucyjnej partii marksistowskiej. Poza ten wspólny weinek ideologii opowiadania chłopskie Żeromskiego nie sięgają, ale intensywność uczuciowego u-łożsamięcia się pisarza z dolą bohaterów każe w utworach tych widzieć niepełny wprawdzie, ale niezwykle silny wyraz nastrojów i dążeń własnie proletariackich i półproletariackich warstw ludności wiejskiej.

Henryk Markiewicz

Stefan Kieniewicz

Ireneusz Gwidon Kamiński

JULIAN STAWIŃSKI

PAN BALCER...



Władysław Wójcik.

SZLAKIEM Pana Balcera, krzyżową drogą, której tragiczny opis dał Adolf Dygasiński, szli osadnicy polscy, z zapadłych wiosek do ziemi obiecanej za oceanem — wysłanej „Brzozli”. Przyjmowała ich rzeczywistość zmuszająca i nieruchome gospodarki pańszczyźniane, złudzenia przysłały, gdy już nie było odwrotu. Ameryka, Łacińska chwylała ich w kleszcze półfeudałnego i półniewolniczego ustroju.

Emigracja polska kierowała się tam niemal bez reszty do Brazylii, ale stanki w tym kraju — największym z dwudziestu republik łacińskich — typowe są dla całego obszaru Środkowej i Południowej Ameryki. Od czasów zaś Pana Balcera jedno się tylko zmieniło, domena fazend i estancji, pampasów i selwy stała się surowcowym zapieczętowanym dla monopolu Kolosa Północy, imperializmu USA.

Cała zdana do uprawy ziemia należy w Ameryce Łacińskiej do 10 proc. ludności. A z rolnictwa utrzymuje się 70 proc. To też większość chłopów jest bezrolna. W Brazylii są posiadłości równie obszernie całej Anglii, w Argentynie do jednej rodziny należy pół miliona hektarów, w niewielkim stosunku do Paragwaju 176 majątków mierzy ponad 50.000 ha każdy. Największym właścicielem ziemskim jest ksiądz. Na drugim miejscu stoją wielkie koncerny Stanów Zjednoczonych: United Fruit Co posiada niemięcej jak 1.600.000 ha, dorównuje jej France Co, inne zaś, jak Forrestal Co z 1.200.000 ha tylko nieznacznie im ustępują. Koncentracji dóbr towarzyszy niski poziom uprawy. Przeważającym narzędziem jest motyka — w Brazylii jeden plug przypada na 214 gospodarstw. Wielki właściciel ziemski woli posługiwać się niepomiernie tania siłą roboczą, jakiej ma pod dostatkiem, niż inwestować pieniądze w zakup najprostszymi choćby maszyn rolniczych. Ślad prymitywna jest zarówno gospodarka uboższego chłopca, którego nie stać na drogie narzędzia, jak i obszarnika, który ich kupić nie chce. Wynikiem takiego stanu rzeczy jest katastrofalny stosunek powierzchni ziemi zdanej pod uprawę do uprawianej faktycznie. W Wenezueli wynosi on ok. 1 proc., w Brazylii niewiele ponad 1,5 proc. Konserwatywny ekonomiczny ziemiaństwo w Ameryce Łacińskiej spręga się z reakcyjnym społeczeństwem i kulturalnym i utrzymuje cały kontynent w warunkach, które niewielkim uległy zmianom od XVI-go stulecia.

W tym stanie rzeczy, gdy kapitalizm USA skierował wzrok na południe, miał ułatwione zadanie. Po I-ej wojnie światowej ruszyła dolarowa lawina. W roku 1913 inwestycje USA nie przekraczały 173 milionów, obecnie wynoszą ponad 6 miliardów. Ale nie były to inwestycje twórcze, dobroczynne. Nie sprzyjały rozwojowi gospodarstwu. Lawina urastała w olbrzymią tamę zagrażającą drogę postępu i uprzemysłowienia Stany Zjednoczone wykupowały złoża kopalniane — nafta, aluminium, ołów, cynk, cyna, nikiel, miedź i inne bogactwa mineralne przeszły nieualcalkowicie w ręce monopolu USA. Rozbudowano koleje — dla wywozu surowców na północ. Inwestycje nie kierują się bowiem do przemysłu, surowce nie są przetwarzane na miejscu. W stanie przetrzebionym i sprowadzającym republikę łacińską do USA. Przemysł ciężki prawie nie istnieje, cała produkcja stała wynosi półtora miliona ton. Rozwinęła się jedynie produkcja konserw mięsnych i tanich tekstyliów; wywóz żywności, czy mięsa mrożonego jest nieopłacalny, a uboższa ludność nie stać na kupowanie importowanych towarów włókienniczych.

Pozostałością epoki kolonialnej był system monokultur — uprawy jednego gatunku zbóż, czy roślin przemysłowych Stany Zjednoczone, traktując całą Amerykę Łacińską jako swoją kolonię, system ten utrwalają. W rezultacie w Argentynie koncentruje się pszenica i hodowla bydła, na Kubie — cukier, w Brazylii — bawełna i kawa, która stanowi 45 proc. całego eksportu tego kraju. Powstaje w ten sposób całkowita zależność od rynku zagranicznego — na rynku USA — na który republiki łacińskie nie mają żadnego wpływu. Odwrócić, same są odeń zależne — eksportują tanio, placą drogą za import. Z drugiej strony tworzą się szlachne niedobry: Kuba np., kraj bogaty i żwny, nie może się wyżyć i sprzedawać mąkę, ryż, mięso i konserwy z USA.

Dość często spotrzeć się można ze zdaniem, że chłop czy robotnik południowo - amerykański jest bierny, apatyczny i leniwy. Przypisuje to do działania klimatu, a nawet rozumie poj-

WŁADYSŁAW WÓJCİK

L I S T Y Z B R A Z Y L I I

List pierwszy

Drzewa, kawa, a może... nafta?

BEZNAJDZIEJNOSC położenia gospodarczego osadników polskich w dorzeczu Ivaí została w ostatnich latach wzmocniona przez negatywny stosunek rządu Parany do całej tej okolicy.



W San Paulo. — Prawda jak pasujemy do siebie, ja i ten pomnik Guarany?

W r. 1948 staraniem konsulatu polskiego w Kurytybie powstał w dorzeczu Ivaí okręgowy związek rolników, któremu rząd stanowy przyrzekł pomoc techniczną w celu przestawienia dotychczasowej gospodarki rabunkowej na tory racjonalnego i planowego rolnictwa. Przyrzeczenia owoce atoli rząd parahiński ówczesny nie dotrzymał. Przed wyborami powszechnymi w r. 1950 spełniły się znowu obietnice pod adresem dorzecza Ivaí w celu wyludzenia głosów Ludności zwróciła swe nadzieje ku opozycji, w której szeregach znajdowało się kilku kandydatów na deputowanych pochodzenia polskiego. Opozycja wybrała nowego gubernatora Parany lecz w położeniu osadnictwa nic się nie zmieniło. Było to zresztą

nictwa, które naprzekór wszelkim spekulantom stanowi trwały fundament gospodarki parahińskiej.

Parana przeżywała już kilka okresów chorobliwej manii nagłego bogacenia się jej sfer rządzących, z uszczerbkiem dla właściwego rolnictwa. Przed i zaraz po pierwszej wojnie światowej była tutaj w modzie „herwa - mate”. Całe polacie kraju pokryto gajami herwowymi, z których suszone liście kupowała rezerwa Ameryki Południowej na herbatę. W zamian za te liście Argentyna dostarczała pszenicy. Na herwie wyrosły fortuny parahińskie i wszyscy kolejno po sobie panujący gubernatorzy tego stanu wywodzili się z arystokracji herwowej. Pierwsza Argentyna obsadziła jednak po pierwszej wojnie swoimi „herwalami” prowincję Misiones (gdzie także jest dużo Polaków) a w ślad za nią uczynił to samo Paragwaj — i herwa-mate przestała być dla Parany „zielonym złotem”. Zniknęło z powierzchni kraju wiele ośrodków handlu herwowego a nawet szereg miasteczek uległo wyludnieniu.

Po tym przysła kolej na drzewo parahińskie Pinory (podobne do sosny) przelato na dyktę, pod pilami runęły setki tysięcy hektarów lasów piniorowych, fortuny wzrastały jak grzyby po letnim deszczu — z arystokracji drzewnej wyłonili się nowe rządy w Paranie. Przedostatnim gubernatorem tego stanu był najbogatszy tartacznik. Lupion. Obecnie wyrośliśmy w okres kawowy. Gubernatorem stanu został potomek dawnych „herwarzy” ale już adwokat kartelu kawowego, Bento Munhoz da Rocha Neto, syn gubernatora Parany sprzed 1930 r. Żywoł gospodarczy tego stanu miała się raz w jedną, raz w drugą, to znowu w trzecią ostateczność i ciekawą jest rzecz czy tutaj zajmie miejsce zdebronizowanej kiedyś kawy!

Na stokach gór Nadziei rozsiadła się beznadziejność, — nie ma tu ani



List drugi

U sąsiada Makolągwy

CHATA Piotra Makolągwy stoi na małym wzniesieniu, blisko drogi głównej. Często wiatr zachodni zwiewa ku niej umany kurcz, jaki podnoszą pomykające tędy ciężarówki, bo droga główna nie jest szosowana. Dawniejsza sadyba Makolągwy mieściła się w dole, blisko potoka, z którego czerpano wodę. Piotr przeniósł ją ku drodze dopiero kiedy się ożenił z Hanką, młodszą od siebie o dwadzieścia lat. Uparła się, żeby mieć koniecznie widok na drogę.

Chata jest sklecona z desek „piniorowych” i pokryta gontami z tegoż drzewa. Składa się z dużej izby na podłodze i z przystawki służącej za kuchnię tudzież jadalnię. Duża izba odgrywa zarazem rolę sypialni a nawet salonu... bo często chłopcy z okolicy wynajmują ją na wiecz-

cze pamięta „stary kraj”, gdzie nieboszczyk ojciec był przy koniach we dworze a matka pomagali doć dworskie krowy. Rolnictwu nie nadpatrzył się tam za wiele, ale wie nabył choć tyle, że narzędziami łatwiej pracować niż pazurami...

Wiedzieć to on wie, ale tłumaczy sobie, że skoro bogatsi koloniści w tej okolicy nie zdobyli się na plug i bronie, skądże jemu, mizerakowi błyszczą im przykładem? Uplywają więc lata na harówce bezplodnej i na niedostatku, na tym chłopskim „jakość to będzie”, które naszego osadnika w Brazylii nie odróżnia prawie od krajowca — kabokla.

Makolągwa nie waży nawet pięćdziesięciu kilo, jest podobny do zaszuszonego grzyba i przepoczone smalty wiszą na nim, jak na strachu w prosię. Przez większą część roku nie wypuszcza on z garści „jojsy” lub motyki. Musi wyciąć pod kukurydzę przynajmniej trzy hektary krzaków, co łącznie z paleniem i sadzeniem zajmie mu dwa miesiące pracy od rana do nocy, — z kolei drugie tyle zabiera sprzątanie i zwozienie. Gdyby te same trzy hektary obsadził kukurydzą na zaoranej roli, miałby pięciokrotnie większe zbiory. W podobny sposób musi „wyjojsować” zarosła pod ryż, żyto, fasolę, maniók i kartofle. Obsadzone nimi wypaleniska, gdy przyjdą wiosenne deszcze, zarastają w oczach chwastami i młodym lasem. Oznacza to cztery miesiące nieustannego pełnienia. W rezultacie niestety nie przewyższają tych, jakie miał Robinson Crusoe na bezludnej wyspie. W każdym razie do nowych rzadko wystarczą.

Piotr robi to, co każdy matorolny czynił dawniej w Polsce; — sprzedawał na lachy, sól i naftę część niedostatecznych zbiorów wtenczas, kiedy są najtańsze fasola, kukurydza i ryż a kupuje te same produkty na przedmówku, kiedy są najdroższe... Nie dziwnego, że od wielu lat nie może wygramolić się z długi. Wnien jest w sklepiku Pęczkowskiem kilkadziesiąt hektarów więc Hanka musi zanieść tylko tam do sprzedania jajka i kury, chociaż gdzieś indziej placą drożej.

Czasami Hanka w przytłumieniu optymizmu, właścicielowi jej wieków, marzy o krowie, o mleku dla swoich pięciu „bąków”. Wówczas Piotr macha ręką i pomrukuje: — Choćby ino dobrą kozę! Ściśle biorąc, nawet dla krowy nie dalszy rady wzbierać odpowiedniej paszy, bo ziemia po wypaleniu zarasta chwastem nie nadającym się na pokarm dla bydła. Trawy rzucają się tu jedynie na glebach ornych.

Przed wyborami obiecywano kolonistom plugi na wyplat z powiatu po 700 kruzajros — po wyborach podniesiono cenę na 1.400.

Makolągwa podnosi czasami głowę ku widniejącym z okna szczytom gór Nadziei, ale tylko wówczas gdy jawi się w chacie ktoś z „kompa-drow” (kumów) z butelczyną trzcinowej samogonki w kieszeni. Wtenczas marzy głośno.

— Ha, za nieboszczyka ojca mieliśmy ładny gatunek świń. W niecałe pół roku upasło się „kapady”.

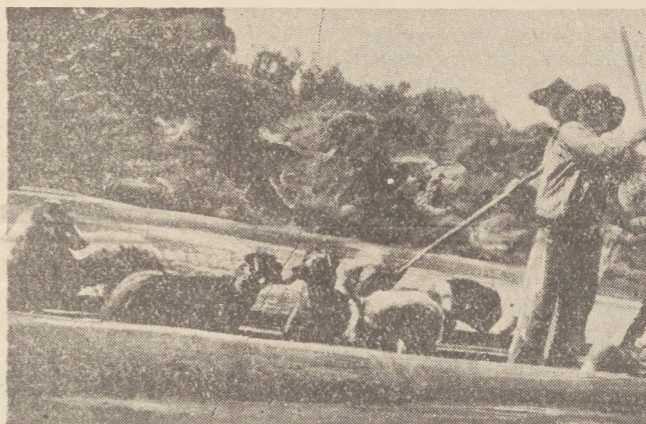
Pokazał mi kiedyś tonący w biorcie u potoka wzniesienie z dwoma świniami. Same degeneraty — ryje na pół metra, uszy wlokące się po ziemi, twarde do tuczenia, że niech ręką boska broni. Obecnie już sobie dziebiek rase poprawił.

Zachodzę którejś niedzieli do Makolągwy, a dzieciaki już w bramce krzyczą: — U nas dzisiaj kura na obiad! Okazało się, że dzieci kot schwylił tłustą kurę, chude psy mu ją odebrały, a gospodarz odebrał z kolei psom...

Przypominały mi się wtenczas przynależności chińskie Kwiatkowskiego: Nadszedł smutku dzień ponury, gdy je biedak rosół z kury...



Podziwiamy z żoną swoje kartofle i fasole, poza nami dużyk szkolny gdzie uczy moja córka Danusia.



Polowanie na tapiry na rzece Irany pod Apukaraną.

do przewidzenia, gdyż jedyną zmianę zasadniczą, jaką mogło za sobą pociągnąć zwycięstwo opozycji w Paranie była z a m i a n a kartel drzewnego na kawowy... Do 1950 r. rządzący Paraną drzewo, czyli t a r t a c z n i c y, od tej daty zaś alją i omęga orientacji gospodarczej jest tutaj k a w a. Cały wysiłek nowego rządu idzie po linii rozwinięcia plantacji kawy, mieszających się wyłącznie w północnej części Parany, wzdłuż zwrotnika Koziorożca, z całkowitym pominięciem innych dziedzin gospodarczych i okolic nie nadających się do produkowania oowego „czarnego złota”.

Porzuconemu w krytycznej sytuacji osadnictwu polskiemu z dorzecza Ivaí nie pozostało nic innego, jak wyemigrować na północ i brać się za kawę. Część już to uczyniła, lecz większość nie będzie mogła pójść tym śladem, nie mając komu sprzedać wyjątkowych „ogniow” systemem obszarów. Bo tereny kawowe poszły w cenę w niebawmy sposób: — jeden hektar dzikiego boru w północnej Paranie kosztuje o tej porze tyle, ile z biedą można dostać za 10 ha w dorzeczu Ivaí. Przewóz rodziny i dobytku wynosi tyleż samo.

Obserwatorzy ekonomiczni już półtorze ostrzegają przed zbyt pochopnym angażowaniem się w kawę, przewidując rychły spadek nadmiernie wygórowanych cen tego produktu w dobie obecnej. Ceny te od czasu drugiej wojny światowej zachęcały kapitalistów z USA do zakładania nowych plantacji w Kolumbii oraz w krakach Ameryki Środkowej. Ale pierwsza lepsza zmiana sytuacji międzynarodowej a co za tym idzie, koniunktury gospodarczej uzależnionej tutaj od USA, może zepchnąć kawę brazylijską na drugi plan.

Niektóre miejscowości dorzecza Ivaí mogłyby już z powodzeniem zabrać się do uprawy bawełny, inne znow pszenicy gdyż obydwa te produkty są w tym kraju poszukiwane. Od Nowego Roku będziemy tutaj jedli chleb mieszany z mączką maniókową, z braku pszenicy Osadnictwo w tej okolicy Parany jednakże nie zdobył się ani na jedną, ani na drugą uprawę, bo nie stać go na kurno narzędzi rolniczych. Dopóki rząd parahiński nie ocknie się z błędnego snu kawowego i nie przypomni sobie o chlebie codziennym, nie poczują on żadnych kroków w sensie podniesienia zwyczajnego, nie aferowego rol-

piniorów (w dostatecznej ilości) ani gleby pod krzewy kawowe. Ale, przepraszam... podobno gdzieś w głęboko ukrytych żyłach skorupy tej ziemi, od Boga i ludzi zanomnianej, mulczkiem przepływa nafta...

W ostatnich miesiącach przemyslowało to zakamarki leśne kilka komisyj krajowych, angielskich i amerykańskich. Wyniki badań, oczywiście, trzymane są w hermetycznej tajemnicy. Formująca się dopiero kompania brazylijska naftowa z kawowych dorobkiewiczów wynajęła inżynierów zagranicznych (nawet Kaukazyjskich) dotychczas zatrudnionych w Argentynie. Jeden z nich przesiadł z instrumentami kilka tygodni pod górą Trombudą i na ojednym powie-dział mi szepciem, że tylko brak kapitalistów opóźni wiercenie. Miejsca zakreślone na mapie dorzecza Ivaí czerwonymi znakami odległe są od kolei ponad 180 km a drogi kolo-



Moje najmłodsze dzieci w bananowym sadzie w Apukaranie.

we znajdują się w oplakany stanie. Rząd federalny brazylijski zatwierdził niedawno statut kompanii narodowej (naftowej) i plan pożyczki wewnętrznej w wysokości 10 miliardów kruzajros, w znacznym stopniu przyniosowej Właściciele aut i ciężarówek muszą nabyć obowiązkowo za tysiąc kruzajros akcji.

Kto wie? — Czasami takie odległe wypadki, jak nacjonalizacja nafty perskiej lub też inne kłopoty brytyjskie na Bliskim Wschodzie, mogą niespodziewanie wpłynąć na losy dorzecza i zmiernie już zmiernie osadnictwa słowiańskiego w dorzeczu Ivaí! Tereza Cristina, w grudniu 1951 r.

Julian Stawiński

IRENEUSZ GWIDON KAMIENSKI

POZNAJĄCIE NASZYCH CZYTELNIKÓW

PRZYJECHAŁ KACZMAREK...

W SPOMNIENIA nawiedzają człowieka często w chwilach najmniej spodziewanych. Przyszłość wyrasta przed tobą tak nagle, jak szlaban przejazdu kolejowego przed nadjeżdżającym szosą samochodem — musisz się zatrzymać, choćbyś nie chciał.

mu. A ponieważ rodzice moi uzupełniali w sposób intensywny wykłady nauczyciela, czytałem nieźle. No i rzecz najważniejsza — miałem łaski u pa i nauczyciela, który pożyczał mi od czasu do czasu jakąś książkę. Dodać należy, że był on jedynym człowiekiem, jaki w promieniu 10 kilometrów posiadał kilkunastotomową biblioteczkę.

(Na marginesie zjazdu przodowników czytelnictwa wsi wielkopolskiej)

DRUGI ETAP KONKURSU

K ONKURS dla czytelników bibliotek wiejskich, zorganizowany na wiosnę 1951 r. przez Związek Samopomocy Chłopskiej miał dwojaki cel: upowszechnienie książki i przeciwdziałanie wórnemu analfabetyzmowi. Uczestnik miał z załączonej listy wybrać 5 tomów i to: 3 z działy literatury pięknej, 1 z działy literatury marksistowskiej i 1 z działy literatury popularno - naukowej. Wybrane książki należało przeczytać i wypowiedzieć swoje uwagi według pytań na załączonej ankiecie. Cel konkursu zostały osiągnięty — rzecz zrozumiała — jedynie przy masowym udziale ludności wiejskiej w konkursie. Tymczasem wskutek wadliwej organizacji konkursu w terenie i niedostatecznemu rozpropagowaniu go, I etap konkursu nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. W Poznaniu wzięło w nim udział zaledwie 520 uczestników.

Do II etapu natomiast (październik 1951 — maj 1952) stanęło 13.935 uczestników, z tego około 7.000 zorganizowanych w zespoły czytelnictwa, a więc różnica jest olbrzymia. Organizatorzy umieli skorzystać w sposób właściwy z doświadczeń I etapu. Na

wiat Gniezno... 5, a powiat Wolsztyn ani jednej. W Gnieźnie i Wolsztynie zaważyły robotę po prostu Powiatowe Zarządy ZSCh, które nie umiały zmobilizować podległych im placówek do propagandy konkursu. Stąd wniosek, że w III etapie trzeba na wlokące się w ogonie powiaty zwrócić szczególną uwagę i pomóc im, przez wysłanie dobrych instruktorów z Zarządu Wojewódzkiego ZSCh. Przykład Turka, cieszącego się w Poznaniu niesłuszną opinią powiatu trudnego do przeprowadzenia wszelkich akcji, świadczy, że można dokonać umiejelnej organizacji.

Najwięcej wypowiedzi napłynęło na temat „Opowieści o prawdziwym człowieku” Polewoja. Bohaterstwo Młeresiewa wzbudzało wśród chłopów podziw dla żołnierza radzieckiego. Brali go za przykład gorącego patrioty i bohatera w walce o wolność Ojczyzny. W ogóle — tłumaczenia książek radzieckich chętnie były czytane na wsi. Azajew, Szolochow, Babajewski, Bek, Gorki, Polewoj, Simonow. Z literatury marksistowskiej głównie dzieła Lenina i Stalina. Natomiast w literaturze polskiej zastanawiali nieliczne pozycje autorów współczesnych (prawie wyłącznie Wasilewska i Kruczkowski) przy wielkim wyborze klasyków: Mickiewicz, Krasiński, Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Konopnicka itd. I jeszcze jed-

cej fachowych wydawnictw w terenie. Zespoły czytelnictwa niejednokrotnie nie ograniczały się do przetwarzania lektury. Zespoły z gromady Kotulina, pow. Września zredagowały gazetkę podległych im placówek do propagandy konkursu. Stąd wniosek, że w III etapie trzeba na wlokące się w ogonie powiaty zwrócić szczególną uwagę i pomóc im, przez wysłanie dobrych instruktorów z Zarządu Wojewódzkiego ZSCh. Przykład Turka, cieszącego się w Poznaniu niesłuszną opinią powiatu trudnego do przeprowadzenia wszelkich akcji, świadczy, że można dokonać umiejelnej organizacji.

Z DOŚWIADCZEN MARII WALCZAK

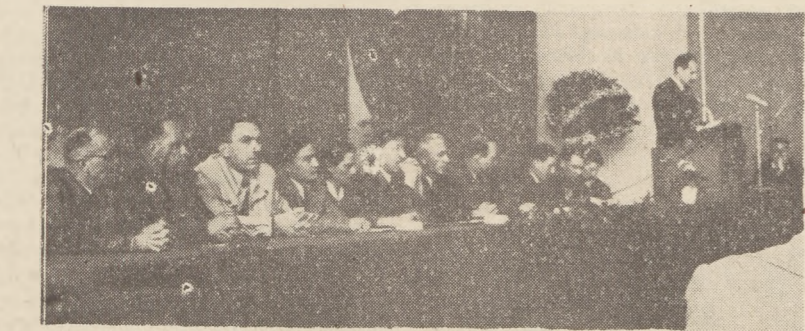
N IE wiem jak wygląda Maria Walczak. Na ankiecie podała o sobie kilka nazwiska i informację: wiek — 37 lat, zajęcie — robotnica rolna i kierownik świetlicy, adres — Kornaty, powiat Września. Prowadziła zespół czytelnictwa i doświadczenia mi ze swej pracy dzieli się na arkuszu papieru, zapisanym nieprawym pismem. Fragmenty przytoczam bez zmian.

— „Nasza gromada była do niedawna zubożoną wioską, gdyż działali na nią krycie jakiegoś wroga elementu. Ludzie nie chcieli czytać gazet, a książki, które były w bibliotece, uważano za nie wartę. Gniewało mnie to strasznie. Postanowiłam walczyć aż do zwycięstwa, bo bardzo dobrze pamiętam, jak mnie skrzywdzono w szkole przedwojennej. Będąc najlepszą uczennicą dostawałam najgorsze świadectwo, bo byłam córką robotnika”.

Maria zaczyna agitować. Z biblioteki nie chcą pożyczać więc wiska chłopom swoje własne, za uciulanie pieniądze kupione książki. Szło opornie, ale kilkunastu młodzieńców z nich przeczytali, polecieli sąsiadom. Gdy gromada chodzila „na stonkę”, podczas przerw w pracy Maria wyciągała z zanadru książkę i głośno czytała. Z początku śmiali się z niej, ale później coraz więcej słuchaczy zjawiało się wokół upartej kobiety. Rezultat?

— „Gdy „Rolnik Polski” i „Przegląd” ogłosili konkurs (dla czytelników bibliotek wiejskich — przyp. mój) próbowałam namówić niektórych i udało się mi, ale zażardziali nie chcieli. Za własne pieniądze zaabonowałam dla nich „Rolnika Polskiego”. Z początku nie chcieli brać, ale się przyzwyczaili, teraz „Rolnika” abonują i z odinków składają sobie własną biblioteczkę rolniczą”.

(Dokończono na str. 5-jej)



Przebieg zjazdu przodowników czytelnictwa wsi wielkopolskiej w Poznaniu.

Od dłuższej chwili wpatrywałem się w zwróconego profilem do mnie chłopca, usiłując przypomnieć sobie, skąd go znam. Ta chuda twarz, policzki przypieczone biegnącymi równoległe do siebie zmarszczkami niby bliznami, siwe włosy przycięte przy samej skórze i nos — długi, trochę przygarbiony, nadający głowie jakiś piaski kształt, jaki trudno zapamiętać.

Mam! Siedemnaście lat temu, Leśniewo w powiecie gnieźnieńskim. Była niedziela. „Wuja Kaczmarek” założył świąteczną „katangę”, zostawił swoje dwa heklary pachu i nie oglądając się na rozwalającą się chałupę, zwaną przez miejscowych kulaków ironicznie „szopa”, krocząc w stronę łąk. Znalizmy te jego spacer. Każdej niedzieli wędrował drogą, przystając co jakiś czas, oglądając uważnie wszystko wokół, albo też mruczając pod nosem, jakby sam sobie coś tłumaczył. Nie wiem dlaczego, ale byłem przeświadczony, że musi stać myśleć o swoich dzieciach. Miał ich równo tuzin. Pomyślcie — 12 zglodnianych berbeczków i ta wydma pod lasem, na której żytko rosło wysoko na łokieć a miejscami nawet i mniej — sze... Siedzieliśmy na skrawku wykubanej doszczętnie przez bydło łąki: czterech wyrosków. Powierzone naszej pieczy chuderlawe krowy pasły się wyjątkowo spokojnie, więc mogliśmy oddać się lekturze. Ściśle mówiąc, lektorem byłam ja, z tej racji, że miałem szczęście codziennie chodzić do trzeciego oddziału 4-klasowej szkoły w odległym o 3 kilometry Falkowie, podczas gdy koledzy pracowali w do-

Kaczmarek podszedł ku nam. Nie zauważyliśmy go od razu, pochłonięci rozgrywkami się na zadrukowanych kartkach wydarzeniami. Nie mogę sobie przypomnieć tytułu tej książki, ale pamiętam co innego: pełen zadróżki wzrok Kaczmarka, jakim wpatrywał się we mnie, napuszonego własną ważnością i uradowanego, że mogę komuś zaimponować. I słowa jego pamiętam, tak pełne bólu i udręki, że urwałem w pół zdania:

— O psiekrwia, żebyś jo umiał czytać!...

Patrzę na tę siwą głowę. Czuję, że mnie w krtań ścisła. Nie, to niemożliwe... A jednak był to Kaczmarek. Przyjechał dziś na poznański zjazd jako przodownik czytelnictwa.

WYMOWA ZESTAWIEN

W WOJ. poznańskim mieliśmy około 32 tys. analfabetów. W roku ubiegłym Wojewódzka Komisja do Walki z Analfabetyzmem mogła złożyć radosny meldunek, wszyscy zamieszkujący Wielkopolskę obywatele umieją czytać i pisać! Jakże nie przyrzec się teraz, po roku, niektórym chociażby spośród tej armii ludzi, których kapitalizm oddzielił od największego przyjaciela — książki.

Kazimierz Kordylas z Pierska, pow. Konin wybrany został sołtysiem swej gromady a jednocześnie także członkiem GRN w Brzeźnie. Jest jednym z produkujących hodowców w gminie. Mikołaj Podgórski ze Szczurowa pow. Ostrów Wlkp. pełni funkcję prezesa

koła gromadzkiego ZSCh, Stanisław Świętek z Wilezyna pow. Konin jest kierownikiem gminnej spółdzielni w Witnicy W gromadach Sędziwojowo, Psary Polskie i Sobiesiernia pow. Września absolwenci kursu początkowego nauczania stanowią trzon aktywu świetlicowego. Poważną część, bo około 15% uczestników II etapu konkursu czytelników bibliotek wiejskich, którego zakończeniem i podsumowaniem jest poznański zjazd — stanowią byli analfabeci.

W roku 1938, w przedostatnim roku panowania burżuazji polskiej sieć bibliotek powszechnych na wsi poznańskiej wyrażała się „imponująco” cyframi: 50 bibliotek z 406 tomami. Dziś — 640 bibliotek i punktów bibliotecznych z 70.586 tomami. W skali krajowej: 1938 — 1033 placówki z 1.700.000 tomów, 1952 — 85 tys. placówek z 55 milionami tomów, czyli na 2800 mieszkańców przypada jedna biblioteka.

Porównamy jeszcze dane statystyczne o Polsce i USA. Na jedną biblioteczkę przypada osób: w Polsce — 2.800, w USA — 20.331.

W czasie, gdy w Leśniewie, u byłego analfabety a obecnie przodownika czytelnictwa Leona Kaczmarka rozpoczynał działalność gromadzki



Fragment sali obrad.

punkt biblioteczny, prasa doniosła o masowym zamknięciu bibliotek w USA. Fundusze były potrzebne na zbrojenia, a nie na utrzymanie personelu...

suwa się jednakże uwaga: nasilenie akcji konkursowej w poszczególnych powiatach było bardzo nierównomierne. I tak np. powiat Turek nadesłał aż 4.120 ankiet konkursowych, po-

no spostrzeżenie: najdłuższe wypowiedzi dotyczyły reguły wydawnictw fachowych z zakresu rolnictwa. Prośba pod adresem organizatorów następnego, III etapu konkursu. Wie-

JAN ANTCAK — kier. bibl. pow.

K S I A Ź K A W P O W I E C I E

PIERWSZE KADRY

WNIOSKI Z KONKURSU

D ALEKIE to już chwile, kiedy w powiecie krotoszyńskim obchodziliśmy pierwsze Dni Światy, uroczyste ogłoszenie Dekretu o bibliotekach i wprowadzenie na półki biblioteczne Książki Nr 1 — „Dzieje miasta Krotoszyńskie”. Dosypały się wówczas setki dzieł doropanych przez mieszkańców wsi i miasteczek. Do pierwszej wypożyczalni i czytelnictwa w mieście powiatowym garnęli się tłumnie ci, którzy bacznym okiem śledzili co przynosi nowy ustrój, jaka będzie ta wspólna ojczyzna pod rządami mas ludowych.

Pierwszymi czytelnikami byli szczęśliwcy, którzy mogli czytać słowo drukowane w nowym kraju. Zapal czytelnictwa przy przeraźliwej potęgę bibliotecznych. Co najmniej połowa czytających rekrutowała się ze wsi okolicznych i dalszych w powiecie. Wypowiadali oni śmiało hasło: nasze to książki i wasze, dajcie je również do nas. Mogłem więc łatwo uchwyścić właściwy tor rozwoju czytelnictwa na terenie wiejskim własnego powiatu. Droga była jedna: ruch! Kolektyw czytelnictwa całego powiatu brał udział w doborze książek, co zmuszało mnie do szybkiego ich rozprawdzania. Inwentarzem były wykazy ścisłe, a katalogiem — swobodny dostęp czytelników do polek. Tak przeminęło lato 1946 roku przy tysiącach tomów, a kiedy nadeszła jesień pracowaliśmy już 13 punktów bibliotecznych na wsiach z drugim tysiącem dzieł. To było bodźcem dla miejskich i gminnych rad narodowych, które utworzyły w ciągu roku 1947 własne biblioteki oraz przydzieliły etatowych pracowników. Była to pierwsza kadra biblioteczna powiatu.

Dzięki naszemu zobowiązaniu podjętemu na apel kopalni Zabrze-Wschód przekroczyliśmy w roku 1948 liczbę szkół podstawowych i ilością punktów bibliotecznych w obrębie powiatu. Czasopismo zawodowe (Bibliotekarz Nr 12-48) zwróciło nam jednak uwagę, że to jeszcze nie wszystko, gdyż nie łatwo jest uczciwie i szybko przeprowadzić gruntowną rewizję pojęć, kształtowanych latami przez idealistyczne doktryny i rzeczywistość — daleko nam jeszcze było do osiągnięcia normy przygotowania podstawowych kadr przodowników wszelkich dziedzin życia. Wśród czytelników było wówczas jeszcze sporo snobów, goniących za sensacją brukową, ale przeważali ludzie pracy. W ostatnim roku planu trzyletniego wzmocniliśmy nasz potencjał książkowy, gospodarczy i czytelnictwa. Podnosiliśmy stopniowo nasze szkolenie w spotkaniach z czytelnikami.

Pierwszy rok Planu 6-letniego dał nam pokąźny zysk, oparliśmy się bowiem na kadrach ZMP-owskich. ZMP świeciło wtedy swój triumfalny marsz przez wieś i miasto.

Następny rok przyniósł jeszcze lepszy materiał propagandowy w rozwoju czytelnictwa, kiedy Zarząd Główny ZSCh rzucił ogromne siły i kredyty na przeniesienie konkursu dla czytelników bibliotek wiejskich. Nie wykorzystaliśmy jednak w pełni tego zwycięstwa ZSCh w następnym etapie konkursowym, choć zwiększyła się pięciokrotnie liczba biorących udział w zespołach czytelnictwa. Widząc jednak, że ZSCh umie prowadzić akcje czytelnictwa na terenie wsi, mi zaś umiemy uporządkowywać niezinwentaryzowane i opuszczone biblioteczki, podjęliśmy to zadanie ze świadomością, że będzie to pionierska akcja nad zakładaniem silniejszych bibliotek gromadzich. A że nie ma pracy bez zysku, doszliśmy tą drogą do następnej naszej formy walki o unowocześnienie i umasowanie wiedzy książkowej, do hasła: **rozwijamy życie świetlicowe.**

A jak wyglądają świetlice gromadzkie i organizacyjne na terenie wsi? Przecież do nich należałoby przenieść punkty biblioteczne. Są świetlice, jest ich wiele, mają niezłe często umebłowanie i opał oraz oświetlenie zapewnione — niekiedy tylko czegoś brak, najczęściej nie ma ludzi, i rozwiniętego życia świetlicowego. Może nie ma organizacji młodzieżowych, chłopskich, kobiecych? Są. Jednakże od czasu gwałtownego przystąpienia etatowych stanowisk w tych i innych organizacjach na szczeblu powiatowym i gminnym runęła praca aktywna, kolektywna kół organizacyjnych na wsi.

Zdawałoby się zatem, że nie ma tak gwałtownej potrzeby przerzucania punktów bibliotecznych ze szkół do świetlic gromadzich. Jednakże pewne momenty pracy czytelnictwa wskazują na to, aby nie zwlekać, a mianowicie: mamy czytelników bez czytelnictwa, bez możliwości odbywania narad czytelnictwa i pracy kolektywnej z książką na własnym podwórku; po drugie: mimo zaocznych osiągnięć punktów bibliotecznych przy szkołach podstawowych coraz częściej spotyka się w nich wydawanie książek dla dorosłych za pośrednictwem dzieci-uczników i częste praktyki prowadzenia wypożyczenia przez starszych uczniów książek nie dla wieku dziecięcego. Właściwym byłoby to od czego wyszliśmy tj. umożliwienie czytelnikom dorosłym poznania książki przed jej wypożyczeniem do domu lub do pracy w zespołach konkursowych. Wiemy ponadto, że wejście bibliotek w życie gromady, któ-

rych podstawowymi instytucjami kultury są świetlice, wymaga od bibliotekarzy zespolenia się z tym ruchem, jaki w świetlicach ma się tworzyć. Nie oznacza to bynajmniej, by kierownikami punktów bibliotecznych przestali być kierownicy szkół i nauczyciele, wykażą się oni bowiem niejednym jeszcze osiągnięciem w rozwoju socjalistycznej kultury pomimo wciągania się ich w każdą pracę na terenie wsi.

Taki jest nasz schemat pracy, która wcale nie zakłada ograniczeń w metodach upowszechnienia książki.

POD OPIEKĄ RAD NARODOWYCH

Z objęciem urzędowania przez prezydium rad narodowych w roku 1950 sprawy biblioteczne w powiecie krotoszyńskim stały się jednym z zagadnień systematycznie omawianych na posiedzeniach i sesjach rad narodowych w powiecie. Czytelnictwo nabyło tym samym praw obywatelskich i doznało zaszczytu; upowszechniało się więc bez przeszkód przy zwiększeniu wymagań.

W roku ubiegłym równo z przygotowaniami gospodarczymi do akcji jesiennej weszły na porządek dzienny powiatowej rady narodowej sprawy czytelnictwa a w szczególności konieczność pobudzenia współzawodnictwa międzybibliotecznych. Zebrani na sesji bibliotekarze wypowiedzieli współzawodnictwo innym powiatom wielkopolskim. Apel ten skierowano do Prezydium WRN w Poznaniu, gdzie nie było jeszcze tej atmosfery, jaka już panowała na szczeblu powiatowym. Obawy nasze znikły jednak z chwilą ogłoszenia przez zespół bibliotekarzy województwa warszawskiego wezwania do współzawodnictwa wszystkich bibliotek i punktów bibliotecznych województwa łódzkiego i poznańskiego.

Sekretarz Prezydium PRN, ob. Dudański, zachęcił bibliotekarzy do aktywnego udziału w współzawodnictwie, udzielał rad i gniewał się, kiedy przez dłuższy czas nie pokazywałem mu się na oczy. Powiadał: „Jak będziecie u mnie częściej, to i co powiecie na temat waszej pracy, bo z próżnymi rękami to tak — widziacie — nie przychodzi się ani nie odchodzi, a trudno abym o waszym zlym czy dobrym dowiadywał się okólnie i niespodziewanie, nieprzygotowany”. Gdy protestowałem przeciw kierowaniu mnie do akcji zbrożowej na cały tydzień, uzasadniając wniosek mój koniecznością przygotowań do akcji współzawodnictwa, otrzymałem odpowiedź, że na terenie wsi lepiej poznać potrzeby czytelników i łatwiej ustalić metody pracy z chłopami. Oczywiście, że praca społeczna bibliotekarzy w terenie jest konieczna i daje prawdziwe zetekniecie

się z życiem robotników, spółdzielców i chłopów indywidualnych. Ale co innego, gdy ten i ów biurokratyzujący pracę członek prezydium gminnej i miejskiej rady narodowej wiska bibliotekarzy nie kończący się rejestr prac innych referatów, rzekomo z tego powodu, że w bibliotekarstwie nie ma roboty. Bardziej właściwe byłoby za wzorem wymienionego wyżej sekretarza prezydium mobilizować bibliotekarzy i pomagać mu w zdobywaniu utraczonej łączności z terenem, bo pracując on w warunkach niełatwych i często zaniedbując się z tego powodu, że raz wytrącony z prawidłowego toku pracy nie potrafi do niego powrócić.

KIEROWNIK NA ROWERZE

Pracując w powiecie krotoszyńskim 96 punktów bibliotecznych na 100 zaplanowanych na rok bieżący, w tym jeden w mieście. Jedna powiatowa, 6 miejskich i 8 gminnych bibliotek publicznych posiada pełną i wystarczającą obsadę osobową. Praca może rozwijać się należycie mimo rozpiętości wachlarza uzdolnień pracowników bibliotecznych, ideologicznego przygotowania do pracy oraz upośleczenia w życiu pozabibliotecznym. Podział administracyjny powiatu jest tak różnorodny, że trudno stosować dwa identyczne sposoby działania. Tu etat dla 1400 mieszkańców, tam dla 10.000; tu nagromadzenie bibliotek innego typu, tam zupełny brak konkurencji; duży punkt biblioteczny ma pokąźne wyniki, gdy mały zamart.

Mimo hasła „ciągłego ruchu książek” bazowaliśmy długo i dużo na administracyjnym wglądzie w działalność bibliotek. Dopiero współzawodnictwo międzybiblioteczne pozwoliło nam przejść na właściwą formę akcji bibliotecznej, wyróżniły się mianowicie biblioteki gminne z ich „kierownikami na rowerze”. A jak! to przeskok, niech posłuży przykład: Gmina biblioteka publiczna w Rozdrażewie znajdowała się pod koniec ubiegłego roku na 30 miejsc wśród gmin wiejskich województwa. Przejście kierowniczkę biblioteki na częstszą obsługę punktów bibliotecznych na własnym rowerze czyli rozwinięciu skrzydeł akcji werbukowej czytelników wysunęło teren tejsze gminy na pierwsze miejsce. Podobnie i inne gminy wiejskie przesylny się ku przodowi np.: gmina Koźmin z 39 na 9, gmina Pogorzela z 68 na 10, gmina Kobylin z 56 na 14, gmina Krotoszyń z 126 na 24, gmina Dobrzyca z 116 na 34, gmina Ligota z 129 na 96 — a tylko gmina Zduny cofnęła się z pozycji 125 do 159 na 203 gminy wiejskie. Na tych przesunięciach ku przodowi punktów bibliotecznych na tere-

nie wiejskim polega zwycięstwo całego powiatu, który osiągnął pierwsze miejsce w województwie poznańskim.

Mniej wydajnymi okazały się prace bibliotekarzy miejskich, nie dostrzeżli oni bowiem jeszcze załók biedniackich i niskich domków robotniczych. Pytając kierowników bibliotek gminnych jak wygląda praca punktów bibliotecznych otrzymywałem najczęściej odpowiedź, że chłop indywidualni i spółdzielcy oraz robotnicy pegeerowsy czekali na książki. Tak, mogli czekać nawet długo, bo bez akcji nie potrafimy jeszcze docierać tam, gdzie oczekują na nas.

Rozumiem to jako brak stałego współdziałania czynników gospodarczych, politycznych i oświatowo-kulturalnych.

NOWY CZYTELNIK — NOWA KSIĄŻKA

Liczba księgozbioru bibliotecznych w powiecie w zakresie bibliotek publicznych jest ogromna i wyraża się stosunkiem 6 tomów do 7 mieszkańców. Liczba czytelników aktywnych w I kwartale br. wynosiła 13 proc. liczby mieszkańców, z czego 38 proc. stanowili robotnicy i chłopcy oraz członkowie ich rodzin powyżej 16 lat bez młodzieży kształcącej się.

Według statystyki z końca 1951 roku 47 proc. czytelników to mężczyźni, 53 proc. kobiety; 28 proc. przypadła na wiek poniżej 15 lat, 29 proc. na okres od 15 do 18 lat, a 43 proc. w grupie dorosłych. Średnio przeczytał jeden czytelnik w ciągu roku 25,3 tomów. W okresie współzawodnictwa tj. od 1.11.1951 roku do 31.3.1952 roku średnia wypożyczeń na jednego czytelnika wynosiła 15 tomów, w tym 1,5 tomu książek popularno-naukowych.

C zmieniło się na przestrzeni 6 ciał lat w zakresie doboru książek żądanych przez czytelników? Ci, którzy żądali lektury sensacyjnej odpowiadali, nie widząc dla siebie możliwości wyżywiania się i korzystania dziś no cichu z nowych książek, przynoszonych do domu przez ich dzieci. Sprawa literatury o tematyce walki o lepsze jutro nie stanowi już czegoś osobliwego. Czytelnicy żyli się z nową książką, która powoli ale konsekwentnie zbliżała się do nowego życia. Biorą oni aktywny udział w pracy bibliotekarzy: nad przestraganiem odpowiedniej wartości księgozbioru. Wrecałem im przy wypożyczeniu, względnie zwrócić każdej książce apel w sprawie lektury. Spodziewamy się niewielu, ale za to treściwych odpowiedzi czytelników.

Energia bibliotekarzy i kierowników punktów bibliotecznych obalila naj-

śmielsze przewidywania. Kierowniczką punktu bibliotecznych, która nie wierzyła kiedyś, że ma dość siły na podjęcie trudu zakładania spółdzielni produkcyjnej, dziś jest jej współorganizatorem i krzewi czytanie dzieci, kształcącej książki przy... darcie pierza i innych okazjach. Nie może dokonać już dołowa obecnych u siebie w domu. Zaczyna więc wciąż nowe, ciężkie niestanowe dzieła socjalizmu i historycznej walki o był robotnika i chłopca, a czytelnicy-słuchacze poznają je w całości przy nowym oświetleniu ich mieszkań.

Nasilenie czytelnictwa bibliotecznych wzmaga się, równocześnie wzrasta rozprowadzanie książek przez Dm Książki i współpracujące z nim Gminne Spółdzielnie ZSCh Najakutwiejszym „krzykiem mody” w powiecie jest obecnie sprawa rozprowadzania książek i czasopism rolniczych, gdy odcienne fabryczny ma już za sobą szereg akcji książkowych i w dalszym ciągu bierze udział w rozprowadzaniu dzieł socjalizmu.

Sprawa sprzedaży książek łączy się z zagadnieniem księgowości, którzy rekrutują się przeważnie z ZMP-owców i słusnie, bo nikt lepiej od nich nie potrafi wykonywać zadań specjalnych. Spróbowano też werbować ZMP-owców jako księgowoszy bibliotecznych. Uczyniła to miejska biblioteka publiczna w Pogorzeli. Wywiązała się z tego nalezycie. Biblioteczka maścicka licząca około 1400 mieszkańcy przybyło 60 nowych czytelników. Ale w tym samym czasie lokalna świetlica ZMP straszyl upstrzonymi od... isięcy przy muchy afizami. Coś nie gra w tym połączeniu nowego ze starym.

Zastanawia mnie ciągle czy winien werbować aktywny ZMP-owski czy przez to młodzież udoskonali swe prace organizacyjne? Nie widząc innego wyjścia wybrałem chłowo to, że nawiązując częsty kontakt z etatowym personelem ZMP w dwu kierunkach: aby po pierwsze podnieść aktywność bibliotekarzy i kierowników punktów bibliotecznych z grona ZMP, i po drugie, aby służyć spostrzeżeniami, jak i gdzie należałoby zreorganizować niewyżolne kół ZMP, dla ich, dobra własnego, dla podniesienia opieki nad nieorganizowanymi. Książka wlewy łatwiej przyjmie się i zakorzeni swoje hasła w życiu codziennym.

Jan Antczak
kier. bibl. pow.

LEONARD SOBIERAJSKI

„CHŁOPY” REYMONTA



Wł. St. Reymont
mal. L. Wyczołkowski

PRZED dzisiejszym czytelnikiem „Chłopów”, który w dziełach literackich określonej epoki szuka obrazu rzeczywistości historycznej, staje podstawowe pytanie, na ile powieści Reymonta odbiły się zasadnicze procesy, jakim warstwa chłopstwa ulegała na przełomie XIX i XX wieku. Analiza „Chłopów” powinna dokonać dwóch zabiegów badawczych: po pierwsze: określić, w jakim stopniu Reymont poddał się ideologicznemu naciskowi klasy panującej przy doborze i ukształtowaniu materiału, dostarczonego mu przez obiektywną rzeczywistość. Po drugie: prześledzić, ile z tej rzeczywistości autor materiału zaczerpnął, jaką wagę dla przedstawianej epoki ten materiał posiada, czy dostarcza on czytelnikowi przesłankę dla wyciągnięcia słusznych wniosków o kierunku rozwojowym ówczesnej wsi.

Analiza ta nie byłaby jednak pełna, gdybyśmy nie uwzględnili w niej jeszcze jednego czynnika, a mianowicie czasu, w jakim dzieło powstawało. Reymont pierwsze dwie części „Chłopów” — „Jesień” i „Zima” publikuje w Tygodniku Ilustrowanym w latach 1902-3, „Wiosna” pojawia się na łamach Tygodnika w 1905 roku, „Lato” dopiero w 1908. Sytuacja społeczna i polityczna tych lat odcisnęła się w sposób niezmiernie typowy dla literatury tego okresu na zawartość treściowej „Chłopów”. Pierwsze tomy powieści pisane przed 1905 r., mimo ideologicznego ograniczenia autora, trafnie ukazują dojrzewanie chłopstwa do rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, ostatnie natomiast ujawniają wyraźną rezygnację pisarza z realistycznej obserwacji rzeczywistości. Tomy te zrodzone z lęku przed rewolucją proletariacką zamazują istotną sytuację podstawowych mas chłopskich, starając się nakreślić złudne szanse utrzymania się i rozwoju wsi w ramach istniejącego porządku.

Równoległe do ciągu gospodarskich zajęć odślania się w powieści tok obrzędowo-religijny życia wsi. Autor w starannie wymodelowanych obrazach przesuwa przed czytelnikiem roczną panoramę świąt w całej ich zwyczajowej oprawie. Ten niesłychanie obfity zapis, niespotykany w żadnej z powieści o tematyce wiejskiej okresu pozytywizmu ma wskazywać, że wiera trwał nadal w „porządku kościelnym”.

W latach dziewięćdziesiątych nasi ideolodzy burżuazjni od liberalno-mieszczanjskiej „Prawdy” poprzez „Ludowy” „Głos” aż do szlachecko-klerykałnego „Tygodnika Ilustrowanego” podejmują się obrony „ludu wiejskiego” przed „ludźmi przewrotnymi”, tak bowiem określili działaczy robotniczych papieska encyklika „Rerum Novarum”. Burżuazja w obronie własnych zagrożonych interesów przypomniał sobie wówczas hasło: „Lud potrzebuje religii”. Wyrzeknie się ona postępowych tradycji pozytywistycznych na rzecz fideizmu, spirytualizmu, symbolizmu — to szukając oparcia i obrony przed walką ludu.

Na taki klimat natrafia młody Reymont, gdy w roku 1893 przybywa do Warszawy, by z kilkoma rękopisami noweli i opowiadań szturmować redakcję czasopism literackich. Wówczas wydawca „Tygodnika Ilustrowanego” Wolf powie mu: „Pan był w tamtych rzeczach strasznie realistyczny i takim jakimś ateistycznym nawet”.

Wówczas i Aleksander Świętochowski, liberal burżuazyjny, walczący w „heroicznym” okresie naszego mieszczaństwa o pełnię swobód burżuazyjno-demokratycznych, dawny entuzjasta Darwina, bojownik o świecką naukę, antyklerykał — będzie sugerował, jak wynika z jego wspomnień o Reymontcie, obiecującemu debiutantom temat właśnie z kategorii „Lud potrzebuje religii”.

Także i na kartach „Chłopów” Reymont przywołując liczne opisy świąt i uroczystości kościelnych, rozpatrując wieś jako podmiot, który w tych formach zaspakaja swoje potrzeby życia duchowego, utrwała patriarchalny obraz chłopstwa, ukształtowany przez feudalno-pańszczyźniane stosunki. W tym obrazie przeżycia, jakich ludowi dostarczał kościół, miały stanowić rekompensację całkowicie niegdyż materialną i kulturalną wsi.

Autor w „Chłopach” potrafił równie szeroko stroną obyczajową życia wiejskiego przedstawiając wieczornice, zabawy w karczmie, obrzędy weselne, muzyki i gościnny sąsiedztwie. Te partie powieści, mające ilustrować barwność, tężyznę i żywiołowość chłopstwa, stanowią trzecią z reymontowskich klisz. W istocie odbija ona ekonomiczną sytuację co przedniej-

W dniach 5 i 6 maja br. odbyła się w Krakowie sesja naukowa Instytutu Badań Literackich, poświęcona problemom literatury polskiej końca XIX i początku XX wieku. Sesja obejmowała 9 referatów, poświęconych w pierwszym rzędzie twórczości Zeromskiego, Witkiewicza, Kasprzowicza, Reymonta, Wyspiańskiego i Orkana. Zarówno referenci jak i dyskutanci poświęcili wiele uwagi problemowi odzwierciedlenia w literaturze epoki sytuacji wsi polskiej tego czasu i procesu narastania ruchu ludowego oraz ustaleniu, o ile zobrazowanie tych spraw ukształtowało realistyczne oblicze czołowych utworów epoki. Poniżej publikujemy fragmenty trzech referatów wygłoszonych na sesji, w których znalazła swe odbicie problematyka wsi polskiej na przełomie XIX i XX wieku.

szych gospodarzy, w założeniach dzieła spełnia jednak zgoła inną rolę, sugeruje mianowicie, że cechy wymienione to właśnie naturalna pochodnia mimo wszystko ogólnie sprzyjających warunków bytowania wsi.

Na początku naszych rozważań postawiliśmy pytanie, jaką wagę dla przedstawionej epoki posiada materiał, który Reymont literacko użytkował w swojej powieści o wsi? To jest istotne zagadnienie dla określenia i znalezienia wartości dzieła. Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy spojrzeć na „Chłopów”, należy spojrzeć na klisz wydobycie tej warstwy utworu, w której zarysowały się realne procesy kształtujące wieś pod koniec XIX wieku.

Autor „Chłopów” znał środowisko wiejskie z bezpośredniego doświadczenia. Datuje się ono z czasów, gdy jako nędznie płatny funkcjonariusz kolejowy spędził kilka lat 1891-93 w podkiermiewickiej wsi Krosnowie. Z tego



Mal. Apolontusz Kędzierski

okresu pochodzą jego pierwsze chłopskie opowiadania. Odkryta wówczas przez niego prawda, że stosunkami wiejskimi rządzi kapitalistyczna moralność, to właśnie ką, pod jakim „oświetlał i ustawał do oglądania” życie chłopskie w nowelach takich jak „Smierć” czy „Tomek Baran”. Suma zebranych w tym okresie doświadczeń to kapitał, z którego czerpał obficie

przy kraśnieniu obrazu Lipiec. Autor pod naciskiem burżuazji zmienił tu ką, pod jakim ustawa do oglądania rzeczywistość wsi, ale wniósł w dzieło tak bogaty materiał, że pozwala on czytelnikowi odcyfrować istotne konflikty, jakie formowały pańszczyźnianą wieś, porwaną przez tryby kapitalizmu.

Reymont, przedstawiając w obrazie Lipiec wieś Królestwa z końcówki lat ubiegłego wieku, oparł fabułę powieści na konflikcie, który ujawnił się wówczas z szczególną siłą — to zaostrzający się antagonizm między wsią a dworem, na tle sporu o serwituty. Reymont trafnie koncentruje uwagę na tym właśnie problemie, ukazując na gromadzie lipieckiej, jak pod wpływem tego zamachu dojrzewa w masach chłopskich świadomość klasowa, jak rodzi się w nich potrzeba obrony zagrożonych interesów.

Reymont ukazując jak w ostatecznym rezultacie swego czynnego wystąpienia Lipce zmusiły dwór do korzystniejszego dla nich załatwienia sprawy, samą obiektywną wymową faktów przekonywał, że jedynie na drodze walki chłopcy mogą poprawić swoją sytuację. Walkiem „sporu o las” utwierdził autor klasową świadomość chłopstwa, odślaniając nieuchronną sprzeczność interesów między wsią a obszarnikami.

Co szczególnie uderza w obrazie reymontowskich Lipiec, to dokładne widzenie klasowego rozwarstwienia chłopstwa. Autor chce odtworzyć całokształt stosunków, panujących w gromadzie, dał bogatą galerię postaci, którym zilustrował wszystkie kategorie społeczne wsi.

Reymont obserwując funkcjonowanie kulackiej gospodarki Borynów skupi uwagę na trybie życia i postępowaniu bogaczy wiejskich, ale równocześnie pokazuje szeroki krąg ludzi, pozostający od nich w ekonomicznym uzależnieniu. Na kartach powieści poznajemy twardy los parobka Kuby, dowiadujemy się o głodnym życiu wyrobnic wiejskich.

Sytuację drobnorolnego chłopca Reymont przedstawił, przenosząc Antków do chałupy starego Bylicy. Pokazał również trudne warunki śródniaka Kłęba, gdzie przedmówek przy licznej rodzinie także zagrażał głodem. Gdy pi-

sarz zbliża się do konkretnych chłopów, gdy przysłuchuje się ich ocenie własnego życia, pękają literackie klisze, zapożyczone od ideologów burżuazji. Uogólnieniem głoszącym pochwałę chłopskiego trybu życia, przeciwstawia się wlewy ostro komentarz, stwierdzający odmienne stan rzeczy.

Reymont niejednokrotnie dopuszcza do głosu reprezentantów biedoty wiejskiej, co więcej wyposaża ich w głęboką świadomość klasową. Przy pomocy takich postaci jak Kozłowi, Kobus a szczególnie Jagustynka, obnaża sprzeczności wewnętrzne wsi, ukazując linię klasowego podziału.



rys. Franciszek Kozłowski

W reymontowskiej wizji Lipiec zarysował się wyraziście obraz kapitalistycznej wsi, w której siłą gospodarczą i społeczną jest grupa kulaków i przedsiębiorców, oni to trzymają w garści całe Lipce. W swoich dużych gospodarstwach posługują się pracą najemną, wykorzystując liczną biedotę wiejską, przeważnie na prawach „odrobku”.

O chłopach lipieckich padają w powieści słowa: „Dyć się już cisnęli na swoich zagonach kiej mrowki, dyć ledwie się już przeżywali ode żniw do żniw”. Reymont dokonując trafnej obserwacji układu stosunków w gromadzie wiejskiej, cofnął się przed wysunięciem jedynie słusznego wniosku, że mechanizm społecznym wsi rządzą kapitalistyczne prawa, że one powodują ruinę podstawowych mas chłopskich.

W dwóch pierwszych tomach powieści autor ukazując wybuch utajonego antagonizmu między wsią a dworem, odsłonił głębsze korzenie konfliktu przez podkreślenie faktu, że kurzące się chłopskie parcele nie zapewniają ich posiadaczom nawet niezbędnej-

szych środków do życia. Pisarz demaskował wówczas w obszerniku klasowego wroga wsi, wskazywał, że w jego ręku skupia się nadmiar ziemi. To przenikliwe spojrzenie na sytuację wsi, konstytuujące klasową świadomość chłopstwa zatrzaś w tomach końcowych powieści Reymont sknąc do szczytów opowieści o Lipcach nie będzie już manifestował wrogiej postawy wsi wobec dworu. Wprowadzenie w tym momencie wątku walki wsi z kolonistami niemieckimi ma swoją wyraźną ideologiczną wymowę. Stworzenie tej nowej sytuacji wynera ze świadomości gromady lipieckiej poczucie krzywdy społecznej. To już nie dwór stoi gromadzie na drodze, a Niemcy. To przesunięcie w powieści akcentu z walki klasowej na problem narodowy odzwierciedlało ówczesną taktykę burżuazji.

Tym wątkiem Reymont stworzył już pomost do porozumienia wsi z dworem, wprowadzając na karty powieści problem parcelacji jako szansę rozwoju wsi w ramach burżuazyjnego społeczeństwa. Przez zmuszenie kolonistów niemieckich do opuszczenia Podlesia gromada ma pełne poczucie zwycięstwa. Kto zebrał owoce tej walki? Do parcelacji przystępują co zamowniejsi chłopcy. Autor nie wspomina tu więcej o losie tych, którzy „ledwie się już przeżywali ode żniw do żniw”. Na nowej kolonii osiadają Płoszkowie, Grzelowie, synowie zasobniejszych śródniaków, najlepsza parcela dostaje się spekulantom wiejskiemu — kowalowi. Reymont tę rzeczywistość przysłania, w tej nowej sytuacji wysunie na pierwszy plan Szymka Dominikowicz, który nawet „wbrew radom dziedzica kupuje na spłaty sześć morgów najniebezpieczniejszej, piaszczystej i kamienistej ziemi. Na postaci Szymka autor dokumentuje, że chłop nawet na najłżejszej parceli daje sobie radę. Reymont z najwyższą aprobatą przygląda się „nowemu gospodarzowi, który „idzie w górę”. Szymek jest tu wzorem chłopca, któremu daje się szansę awansu na gospodarza.

Autor przeprowadzając trafną analizę stosunków kapitalistycznej wsi, odślaniając w niej system wyzysku, dostrzegając ruinę podstawowych mas chłopskich, dał obraz chłopstwa zgodny z obiektywną rzeczywistością. Pisarz ukazując możliwość poprawy losu wsi na drodze parcelacji z wykupu dowiódł swoją wcześniejszą analizą fikcyjności tego rozwiązania. Inspirowany przez burżuazję ideolog chłopstwa parcellacji popada w swoich wnioskach w sprzeczność z przesłankami, których dostarczał artysta czujnie obserwujący procesy, jakim ulegała wieś na przełomie XIX i XX wieku.

Leonard Sobierajski

HENRYK MARKIEWICZ



Stefan Zeromski

PIERWSZE opowiadania Zeromskiego powstają u progu okresu, w którym dojrzewały obiektywne warunki historyczne do walki proletariatu i podstawowych mas chłopskich o całkowite usunięcie pozostałości feudalnych, o przewrót burżuazyjno-demokratyczny, a więc w pierwszym rzędzie o likwidację obszarnczego władania ziemią i obalenie absolutyzmu carskiego. Utwory Zeromskiego, ukazując najbardziej zaogniony wycinek konfliktu między chłopem a obszarnikiem uczestniczyły aktywnie w ideologicznym przygotowaniu tej walki; ich postępowe, rewolucjonizujące funkcje nie pomniejsza oczywiście fakt, że w Polsce nie został urzeczywistniony rewolucyjny sojusz robotników i chłopów, między innymi wskutek błędów luksemburgizmu.

Nie znajdujemy natomiast u Zeromskiego obrazu rozwarstwienia chłopstwa i jego wewnętrznych konfliktów. Raz tylko jeden w całej twórczości pisarza pojawił się kulak, kilku skąpymi choć wyrazistymi kreskami zarysowany w „Szyfowych pracach”.

Jakże były przyczyny tak znamiennego zniżenia tematycznego? Zeromski nie należał do pisarzy, którzy — jak Prus czy Reymont — prowadzili „studia terenowe”, organizowali i przygotowywali materiał twórcy do swych dzieł. Natomiast z niezwykłą chłonnością zużytkowywał jako materiał twórczy to, co przynosiło mu jego żywiołowo kształtujące się doświadczenie życiowe. W tym doświadczeniu od najmłodszych lat bogato nawastrzał się obraz skrajnej, rozpaczliwej nędzy chłopskiej.

W tych młodzieńczych obserwacjach Zeromskiego wyszły kulacki musiał być słabo reprezentowany. Gubernia kielecka zajmowała pierwsze miejsce w Królestwie pod względem procentu

gospodarstw karłowatych i małorolnych. Zresztą obserwatorowi patrzącemu na wieś z zewnątrz, z obszarniczego dworu łatwiej było dostrzec trwające pomiędzy nimi napięcie, niż bardziej ukryte wewnętrzne sprzeczności chłopstwa. Jakoż młody Zeromski w czasie odwiedzin u krewnych i na korepetytorskich „kondycjach” zbierał obfity materiał o kapitalistycznym wyzysku i feudalnym poniżeniu chłopstwa. Ale były i dodatkowe przyczyny, które wyostrzały krytycyzm Zeromskiego w stosunku do obszarnictwa. Wychowany na literaturze pierwszej połowy XIX wieku, wyrażającej ideologię ruchów narodo-wyzwoleńczych i demokratycznych, młody Zeromski z odrzą i wrogością obserwował w środowisku zamożnej szlachty — kosmopolityzm i oportunizm wobec zaborcy, egoizm klasowy, ciasnolę zainteresowania, moralne znikczemnienie. „Rozbił dwór szlacheckiego”, wyzyskiwany i upokarzany jako korepetytor, miał również osobiste rachunki krzywd doświadczonej od swych pracodawców, łatwo mu było odczuć dół innych wyzyskiwanych i zsoldaryzować się z nimi.

Wreszcie konflikt dwór — wieś przyciąga uwagę przyszłego pisarza także i dlatego, że w nim dostrzegł klucz do sprawy upadku ojczyzny i wyzwolenia narodowego. Zeromski od wczesnej młodości szukał dróg wyzolenia narodowego i społecznego. Hasło zbratania szlachty i chłopów, które czerpie — z pism Jeża, konkretyzuje się w warunkach powiślańskich jako pozytywny program oświatowej „pracy u podstaw”, ale z wyraźną perspektywą ruchu powstańczego. Jeszcze prowadząc w czasie pobytu w Warszawie akcję wśród rzemieślników, Zeromski pragnie żywić solidarystyczne nadzieje, w oświacie widzi jeszcze dzwignię odrodzenia narodowego również po wyjeździe na wieś, w czasie pobytu w Oleśnicy w latach 1888-9. Ale coraz lepiej rozumie utopijność swych marzeń o współpracy szlachty i chłopów, o opiece dworu nad chałgą. Sam uczy dzieci chłopskie, myśli o założeniu w Oleśnicy czytelnicy ludowej, ale coraz wyraźniej dostrzega, że nawet w tej działalności nie znajduje zrozumienia w zaoferowanym i egoistycznym obszarnictwie.

Doświadczenia te każą mu zrewidować swe stanowisko, wyrzec się solidarystycznych utopii i nadziei związanych z misją społeczną szlachty: „(...) Jeżu, Jeżu, stary nasz ojciec, do czegoś mi dożył. Skłamał — że z szlachtą polską polski lud”. Złudzenia twoje narodziła taka miłość ojczyzny jak nasza, dał jej uwierzyć w kłamstwo, stawiania się szlach-

ty ludem” — i nas prowadził za sobą tak ci wierzących... A gdzieśmiem doświł? Teraz albo stać się socjalistą, albo się rozpić. Nie ma dróg na tej ziemi innych”.

Jak widzimy — jedyny realny program społeczny, jaki ostaje się wobec tego kryzysu ideowego, to socjalizm. Ale Zeromski z różnych przyczyn, wśród których na pierwszy plan wysuwały się nieprzezwyciężone związki jego ze światem szlacheckim i opory spowodowane niedocenianiem kwestii narodowej przez ówczesny ruch socjalistyczny — do socjalizmu nie doszedł.

Zeromski od wczesnej młodości próbował sił w literaturze. Imię pisarstwa miał jednak zdobyć dopiero wówczas, gdy zarzucił wieszowane, dramatyczne i prozaiczne utwory inspirowane przede wszystkim przez lekturę, a przeszedł do utworów opartych o obserwację rzeczywistego świata.

Tematem chłopskim Zeromski debiutuje jako prozaik — mowa tu o utworze: „Ach gdybym dożył tej pociechy”, drukowanym w „Tygodniku powszechnym” Wiktora Gomułkiego (1889, nr. 2 z 12 października). Obrazek gromadki chłopskiej wsluchanej w czytanie na głos „Pana Tadeu-



Powrót z kopania ziemniaków.

Mal. Kozakiewicz

sza” nasycony jest wzruszeniem, które nieraz odczytuje się jeszcze w pismach Zeromskiego, które pisarstwo nigdy nie zubożniejł. Wzruszenie to budzić będą u Zeromskiego zawsze fakty świadczące o upowszechnieniu oświaty, o przyswojeniu sobie przez lud dziedzictwa kultury narodowej. Podtytuł utworu i powtarzająca go refleksja zdziwienia: „Istna idylia... — pomyślałem — chłopcy przy książce” — sygnalizowały niecodzienną, wyjątkowo opisywaną sytuację, odbę-

wały czytelnikom prawo do pochopnych uogólnień i taniego optymizmu.

W ślad za tym obrazkiem ukazując się w „Tygodniku Powszechnym” (1889, nr. 5 z 2 listopada) „Elegia”. Jej ideowa koncepcja, to kontrastowanie niepozytywnej postpolitości wiejskiego kalikanciasta a zarazem pastuska, „Tomka czy Szymka”, jak pisze Zeromski — z wielką namiętną siłą jego uczucia, a zarazem siłą artystyczną jego natchnionego śpiewu. Ta koncepcja włączała się w rozpowszechnione w literaturze lat osiemdziesiątych zjawisko awansu moralnego i intelektualnego ludowych bohaterów — zjawisko ideowo bardzo spłątane, bo mieszające w sobie obok demokratycznego szacunku dla prawdziwych wartości humanizmu ludowego, dla twórczych uzdolnień mas ludowych — również reakcyjne próby idealizacji chłopskiego zaoferania i upośledzenia. Wbrew poczynionym sugestiom nie dostrzegamy tych niebezpieczeństw w „Elegii”, która była pierwszą próbą urzeczywistnienia zadań pisarskich zakreślonych w dzienniku:

29.4.1889. „Obrzydła mi już zgnila filistera „klas wyższych”... Zwracam się tam, gdzie jest niezgłębiona rozmałość, wiecznie zmieniająca formy życia, niezbadana jak przyroda świat

powiadaniu „Żywa relikwia” dopatrywać się należy inspiracji dla utworu „Cokolwiek się zdarzy, niech uderza we mnie” (pierwotny druk w „Głosie”, 1891). Kiedy jednak Turgeniew ukazuje czytelnikowi duchowe piękno, wrażliwość i bogactwo przeżyć sparaliżowanej dziewczyny wiejskiej, której jedynym życzeniem jest poprawa losu pańszczyźnianych chłopów — to Zeromski wyraźnie idealizuje religijną rezygnację i pokorę swego bohatera, cierpliwą jego zgodę na własny los, wszechogarniającą życzliwość, na jaką zdobywa się umierający w szpitalu parobek folwarczny.

Apoteoza rezygnacji i pokory. Jak najbardziej miary duchowej wiejskiego proletariatu była niewątpliwie pomyłka ideowa młodego pisarza. Utwór poczęty z głębokiego wzruszenia nad cierpieniem ludzkim, wchodził w zasięg ideologii służącej ujarzmieniu duchowemu mas ludowych.

Już jednak w opowiadaniu „Pśie prawo” (znanym z przedruków pod nazwą „Pod pierzyną”, które „Głos” zamieścił w kilka miesięcy po debiucie Zeromskiego (7.XII.1889) uwiłocznili się rezultaty przebytego w Oleśnicy kryzysu ideowego. Opowiadanie podkreśla nieprzebytą przepaść dzielącą sferę eleganckiej młodzieży od ludu, żywiołowość feudalnego przedziatu stanowego i feudalnego poziomu chłopów. Trzeba śmiertelnego niebezpieczeństwa, z którego wyratować może tylko siła chłopskich rami, by u panicyzacji pojawiło się na chwilę poczucie ludzkiej równości z „chamem”.

Przeciwstawienie między trudnym, ubogim życiem ludu a bezroską rozrywką panów, między dobrocią i poświęceniem chłopca a szlachecką pychą i społecznym przesądem — oto w czym zawierała się wymowa ideowa utworu.

Dlatego też w „Psim prawie” należy widzieć przygotowanie ideowe artystyczne do dwóch opowiadań chłopskich, którymi Zeromski zapoczątkował nowy etap rozwoju polskiego realizmu krytycznego. Mowa tu o „Zapomnieniu” i „Zmierchu”. „Zapomnienie” napisane zostało bezpośrednio po „Psim prawie”, w czerwcu 1889 r. i miało najprawdopodobniej stanowić dalsze ogniwno rozpoczętego cyklu „Z dziennika”, wydrukowane jednak zostało dopiero w „Głosie” w roku 1891. „Zmierchu” powstał później, między 1890 a 1892 r. Dlaczego utworom tym przyznajemy tak wysoką rangę, na czym polega ich ideowo-artystyczne nowatorstwo w stosunku do realizmu krytycznego pozytywistów? Najbardziej powierzchowna analiza wykryje w nich od razu niespotykaną przedtem dosadność, w ówczesnym mniemaniu „antystetyczność” — realistycznego szczegółu — widoczną w portrecie

PIOTR GUZY

ZDRADA FRANKA CZEKAŁY

Pracowali zawzięcie, rzadko przemawiając do siebie. Wozy były już prawie pełne, gdy Kuba wyprostował się i spojrzawszy w stronę wsi, zapadł w dolinę i widnej stąd jak na dłoni. — Popatrz — szturchnął Franka ramieniem.

Droga zbliżała się kupa ludzi. Przodem szła grupa, biegły dzieci. Za nimi niemal zwartym oddziałem maszerowali mężczyźni z podniesionymi do góry głowami.

— Chryste Panie! Do nas idą! — powiedział bojaźliwie Grzegorz Skrupala.

Odszedł od swego wozu i przystanął przy Franku, który mrknął coś pod nosem i nie przerwał pracy. Inni skupili się razem, jak spłoszone stado kur. Odwrócenie w stronę przelatujących już przez rów ludzi — czekał.

— Szczęść Boże! — przywitał lamistrążył stary Zientek. Zdjął zmięty kapelusz i wytari przepocony w środku pasek skóry postrzępionym brzegiem rękawa.

Nikt mu nie odpowiedział.

— Cóż to, zapomnieliście chrześcijańskiego języka w gbie? — Wy się to nas nie nagrywajcie, Wojciechu, tylko gadajcie coście chciecie? — powiedział z za pleców Kuby Jędrzej Bobola.

— Powiem, tylko powoluto. Nie ma się co spieszyć, dziś święto.

— Jakie święto? — Nie wiecie? Święto, nikt nie pracuje.

— Ja pracuję.

— Tak, tylko wy, ilu was tu jest... dziesięciu.

— A kto nam zabroni pracować? — Nikt nie zabronił, ale była ogólna zgoda, żeby nie iść do pracy. Zapomnieliście?

— Ja się na nic nie zgadzałem.

— Ale wiedzieliście, że ma być strajk?

— Ano... wiedziałem.

— To trzeba było przyjść i powiedzieć: ja się nie zgadzam.

— Gadanie.

— Nie gadanie, tylko tak jest. Jak strajk, to wszyscy strajkują i nikt się nie uchyla.

— Przecież — ciągnął dalej — my nie chcemy niczyjej krzywdy. Nie o to idzie, żebyście nie zarobili tych paru groszy. I to jeszcze wielkie pytanie, czy wam je dadzą. Nam wszystkim zalegają za ośmiomiesięczną wypłatą i ciągle tylko zwodzą i zwodzą. Czas wreszcie postawić się i pokazać naszą siłę. Bez nas dziedzic nie nie znaczy, bo sam w pole nie wyjdzie i nie obróbi. Zobaczymy kto wygra. Rzepak potrzebuje zwieź, bo inaczej zgynie na polu. W tym nasza siła, że dziedzic bez nas nie ruszy, że nas potrzebuje. On przyjdzie do nas,

przyjdzie prędzej czy później, a wtedy mu powiemy: najpierw zapłać, coś nam dłużny. O tu — wyciągnął rozplaszczoną dłoń i stuknął w nią fajką — tu, jak zobaczymy pieniądze, wszystkie co do grosza, wtedy dopiero, nie przedzie.

Poskrobał się po brodzie i powiedział w stronę Boboli i reszły:

— No, jak, ludzie, wyprzagniemy te konie i pójdziemy do domu, co? — Tak by wyglądało — powiedział Bobola i zaczął wycyfować się w stronę swego wozu.

— Ja nie pójdę — powiedział Frank.

— Dlaczego nie pójdiesz?

— A tak. Nie pójdę i nikt mnie ślad nie wypędzi.

Od mostu nadjeżdżał rządca. Gnady konik biegł lekkim truchcikiem, wznosząc spod kopyt białe kłębki kurzu.

— Zle robisz.

— Zle, jak dla kogo.

— Dla nas i dla siebie, bo naszą jedność osłabia.

— Dobrze wam się mówi, Wojciechu, bo wy małych dzieci nie macie, wszyscy wyrosli i do miasta uciekli.

— Toś wymyślił! — taki sam zasraną żywo tam mają, jak my tu.

— Ale ja mam dziecko, co ma dwa lata i jeszcze nie chodzi. Taka się z niego poczwara zrobiła, jak zwierzak jakiś z czołga się na czworaka. Ja mogę przez te trzy dni zarobić z dzieciego złotych dla doktora, żeby na te nogi popatrzał. Tego to nie widziałeś!

O jednocy mi tu mówić będziecie, kiedy dziecko mi na kalekę wyrosta.

— Ja wiem, Franek — powiedział z westchnieniem Zientek — ja wiem, ale przez jedne ogędziny doktora dziecko nie wyzdrowieje.

— Franek — wystąpił teraz stary Czekala — przecież twoje dziecko, to mój wnuk. Tak samo ono moje, jak twoje. Jak tylko Józef przysię pieniądze, ani grosza nie weźmiemy dla siebie, wszystko na dziecko mamy, bo już patrzeć nie mogę na tę nieszczęśliwą sierotę. Pojdźmy do domu, Franek, co?

— Nie pójdę, ojciec.

— Pójdźmy, Franek, co?

— Nie pójdę, ojciec.

— Franek, ja ciebie po dobroci...

— Nie, ojciec.

— Franek — przystąpił bliżej — Franek, nie kaź mnie staremu... — podniósł do góry drążącą rękę.

— Nie, ojciec.

— Nie?

Uderzył go w twarz i Franek byłby upadł, gdyby nie ludzie stojący za nim. Czekala pobił.

— Niech mnie ręka boska za to skarze... — wyszeptał.

Przecisnął się przez ludzi i polazł rozkopanym polem do drogi, zmiądzony, jakby mu przez tych kilku se-

kund przybyło parę lat. Z boku, z drwiniącym uśmiechem na ustach stał rządca, rozkroczonyi nogami mocno wparty w ziemię.

Ludzie zaczęli schodzić z pola. Wyprzegnęto konie, wlokąc orczyki, poczapalapy ku wsi. Na polu pozostały furmanki z opuszczonymi na dół dyszlami.

Rządca dogonił ich przed bramą. Spod niskich drzew szpalery prowadzącego do pałacu wynurzył się na koniu hrabia Wojnarowski.

— Co to ma znaczyć, panie Malasiński?

— Strajkują, panie hrabio.

— Dzwoni pan natychmiast po policję. Zaraz po policję, panie Malasiński. To robota komunistów, tolerować tego nie będę.

— Tak jest, panie hrabio. Już jadę.

— Chwileczkę — zeskoczył z konia — niech pan poprosi do telefonu aspiranta Petruczyńskiego. Nie, lepiej komisarza... zresztą, najlepiej jak ja sam z nim porozmawiam.

Wskoczył na konia i, nie patrząc na przysłuchujących się opodal robotników, pocwałował do pałacu.

*

Zbliżał się wieczór. Cienie za domem wydłużały się i w izbie poszarzało, kiedy w sieni odezwały się głośne kroki. Drzwi pchnięto wewnątrz i na progu stanął wysoki policjant. Za nim weszło jeszcze dwóch, z paskami pod brodą i karabinkami przewieszonymi przez plecy. Rządca Malasiński zamknął drzwi.

— Tu mieszka Franciszek Czekala? — wysoki policjant przysunął sobie krzesło i usiadł, oparłszy się plecami o krawędź stołu. Zdjął czapkę i wytarł czoło. Miał ascetyczną twarz i lysą głowę.

— Mieszka, a co?

— Ach, to wy — wydobyl z kieszeni na pierśiach jakiś papier. — Mam tu — podniósł papier do góry — rozkaz komendanta powiatowego Policji Państwowej, kapitana Pasierskiego przeprowadzenia u was rewizji.

— Jakiej rewizji? U mnie nie ma.

— Zostawcie to dla nas, od tego my jesteśmy — skinął na policjantów.

— Papierosa, panie aspirancie? — Malasiński podsunął papierosinę.

Aspirant Petruczyński powiódł oczyma po izbie.

— Ubogo tu u was, panie Czekala.

— Jak nie ma być ubogo, kiedy dziedzic nie wypłaca?

Aspirant pokiał głową.

— Tak, tak. Kryzys. Ciężkie czasy. Ale sobie jakoś radzicie.

— Kto tam ciągle tak kaszle? — stanął przed otwartymi drzwiami.

— Chory?

— Gruźlica — wyjaśnił rządca.

— O! — Usiadł z powrotem.

— Ołóż — aspirant zwrócił się do Franka — według doniesienia obecnego tu rządca, pana Malasińskiego, doszło dzisiaj na polu do nieprzyjemnego zajścia pomiędzy ojcem a wami. Tak?

Franek milczał.

— Z informacji pana Malasińskiego wynika, że wasz ojciec, chcąc wam przeszkodzić w wykonywaniu waszych obowiązków w stosunku do pana hrabiego Wojnarowskiego, u którego jesteście zatrudnieni, uderzył was w twarz, czyli fizycznie uciążliwie wam... zresztą, po co ja to mówię, niech pan przeczyta protokół, panie Przycuś.

Przycuś odczytał.

— Podpiszcie — aspirant podsunął mu pióro.

Franek milczał.

— Podpisujecie tylko, że tak było, jak napisane.

— Niczego nie podpisuję.

— Co znaczy, nie podpisujecie? Było tak, czy nie było?

— Nie było.

— Panie Malasiński!

— Bujanie, przecież sam widziałem.

— Nic pan nie widział.

— Kłamie.

— Za daleko pan stał, żeby coś widzieć.

— No, więc jak, podpisujecie?

— Nie.

— Nieważne. Pan rządca był świadkiem i to wystarczy. Głupio postępujcie, a ojcę i tak już nie pomócie. Teraz mu tylko adwokata trzeba. Chodźmy.

Franek usiadł ciężko za stołem i obiema rękami objął twarz. Dokoła słyszał głuchy szum. Z daleka dochodziły go jakieś głosy. Zamknął oczy i usiłował stłumić w sobie narastający ból. Potem się zerwał i wybiegł na dwór. Minął bramę i wpadł na drogę. Przy ostatnim z czworaków stał samochód ciężarowy nabitą arsztanetami. Otoczył go krąg milczących ludzi. Ojciec, opierając rękę na tylny krawędź, siedział z brzęgu i patrzył ponad głowami. Franek zaczął biec środkiem drogi, ale w tej samej chwili samochód ruszył i wzbijając tuman kurzu, zniknął wkrótce za zakrętem.

Franek zawrócił do bramy.

U wylotu szpalery stał hrabia Wojnarowski. Na jego widok Franek splunął przed siebie i przez zaciśnięte zęby wyrzucił: „To dopiero początek! My się jeszcze porachujemy!”

Piotr Guzy

Z prasy radzieckiej i

Narady w sprawie literatury dla dzieci i młodzieży

RADZIECKIE książki dla dzieci i młodzieży zajmują pierwsze miejsce w literaturze światowej tak pod względem swego znaczenia ideowego, jak i wysokości nakładów. W Kraju Rad, gdzie problemy wychowania komunistycznego społeczeństwa mają pierwszorzędne znaczenie, literatura dziecięca i młodzieżowa otoczona została specjalną troską. Partia, Rząd, cała społeczność radziecka poświęcają książkom dla dzieci i młodzieży wiele cennej, życzliwej uwagi, rozumiejąc doskonale, że wychowanie nowego komunistycznego człowieka zaczyna się od lat najmłodszych, od dziecka.

Te szczerne obowiązki pisarze radzieccy wykonują znakomicie. Świadczą o tym nakłady książek i rozgłos poszczególnych dzieł. W okresie władzy radzieckiej nakład książek dla dzieci i młodzieży wynosił jeden miliard sześćset milionów egzemplarzy. Cyfra niebywała, niemożliwa w ustroju kapitalistycznym. W Związku Radzieckim bibliografia pozycji z tego zakresu notuje 39.132 wydania książkowe.

A oto cyfry świadczące o wielkiej popularności niektórych pisarzy specjalizujących się w zakresie literatury dla dzieci i młodzieży. Utwory Marszaka osiągnęły nakład 23.863.000 egzemplarzy, tłumaczone były na 62 języki i miały 597 wydań. Utwory Barlo wydawane były 410 razy, tłumaczone na 56 języków i uzyskały nakład wysokości 19.240.000 egzemplarzy. Dzieła K. Czukowskiego drukowane były 429 razy w nakładzie 19.080.000 egzemplarzy, tłumaczone na 47 języków. Tak lubiany przez dzieci A. Gajdar pozostawił utwory, tłumaczone na 56 języków i drukowane w ilości 12.386.000 egzemplarzy. Sekcja literatury dziecięcej i młodzieżowej w Związku Radzieckim skupiają ponad 250 pisarzy.

Te oszłamujące cyfry dadzą się wytłumaczyć sukcesami socjalizmu w Związku Radzieckim. Likwidacja analfabetyzmu, objęcie nauką wszystkich dzieci, wciągnięcie dzieci i młodzieży poprzez życie organizacyjne do wielomilionowej masy uczestników wielkiej historii radzieckiej, nasytanie książek wartościową treścią polityczną, podjęcie najszlachetniejszych zadań wychowawczych — oto czynniki, które uwarunkowały pozycję radzieckiej literatury.

Obecny etap — przejście od socjalizmu do komunizmu — stawia przed tą literaturą nowe zadania. W kwietniu odbył się w Związku Radzieckim zjazd, poświęcony sprawie literatury dziecięcej i młodzieżowej. Obrady zgromadziły licznych pisarzy, pedagogów, przedstawicieli wydawnictwa i zainteresowanych ministerstw.

W przeddzień Zjazdu „Literaturna Gazieta” wystąpiła z artykułem pt. „Co zrobiono i czego nie zrobiono”. Wypowiedź „Literaturnej Gaziety” nosiła charakter obrachunku; podkreślając wielkie osiągnięcia i zdobyte, nie tała jednocześnie braków. Za punkt wyjścia do swych rozważań „Literaturna Gazieta” obrała ostatnie XIII Plenum Związku Pisarzy Radzieckich, które miało miejsce w styczniu 1950 r.

„Przed literaturą dla dzieci i młodzieży — brzmiała uchwała Plenum — stoi zadanie stworzenia dzieł, opiewających bohaterstwo i piękno pracy ludzi radzieckich”. Ten postulat wypełniły zwłaszcza książki G. Kublickiego „Wielka Wolga”, M. Belachowej „Drogocenny gruz”, A. Pierfilijewej „Droga”, bogato i wielostronnie pokazujące wysiłek radzieckich narodów. Stworzone celne obrazy bohaterów pozytywnych w książkach L. Kassila („Ulica młodszego syna”), W. Bielajewa („Stara twierdza”), W. Osiejewej („Wasiek Trubaczow i jego towarzysze”), N. Nosowa („Witek Malejew w szkole i w domu”) Ukazano — w myśl założeń — pracę uczonych, nowatorów i racjonalizatorów. W tym zakresie udało się przyciągnąć do współpracy ludzi spoza literatury: fachowców — techników i racjonalizatorów. Powstały powieści „Rzeka w pustyni” (pióra geografa G. Ganajzera), „Nasz przyjaciel Jose” (napisana przez marynarza H. Bałowa), „Towarzysze” (weteranarza W. Wielkownika), „Losy wynalazku” (powieść naukowo-fantastyczna inżyniera N. Łukina).

Plenum kładło szczególny nacisk na fakt, że metoda realizmu socjalistycznego wymaga od pisarzy wielostronnego odzwierciedlenia życia. Pisarze sprościli temu zadaniu, pokazując swoich bohaterów w szkole, przy nauce, w chwilach odpoczynku i w gronie rodzinnym. Przykładem tego są takie utwory, jak „Powieść Ałtajska” L. Woronkowej, „Dom na wzgórzu” A. Musatowa, „Na skrajach ziemi”, „Ognie na rzece” N. Dubowa, „Zródło” J. Tajca, „Trzecia brzoza” A. Grigulisa, „Oddział kroczy zgodnie” A. Leksina. Na uwagę zasługuje dydaktyczno-historyczna powieść S. Marszaka pt. „Wesoła podróż od A do Z”. W omawianej literaturze pełny wyraz znalazła tematyka Wielkiej Wojny Narodowej, walka o pokój i demokrację.

Lecz niestanny rozwój życia stawia przed pisarzami nowe zadania. Braki w tym zakresie zwrócić na siebie uwagę krytyki, zaalarmowały Partię i spowodowały właśnie Zjazd.

Antonina Bartoszewicz

ANTONINA BARTOSZEWICZ

„CICHCEM SIEDLI, MILCZKIEM JEDLI”

CZYTAŁAM o krakowskim zjeździe większych przodowników czytelnictwa. Słyszałam po sąsiedzku o poznajskim. Oba udane. Byłam na naszym bydgoskim, zorganizowanym w Toruniu — nie udało się. Bo co go różni od krakowskiego i poznajskiego? Zupelny brak dyskusji. Nie włączono jej w program. A z której by nie brać strony — czy, że zjazd powinien być roboczy, czy odwojny, świętem odznaczonych przodowników — jakże mogłyby być zjawem milczenia tych, którzy nań przyjechali? Przodownicy? Zatem ludzie o bogatym doświadczeniu w organizowaniu czytelnictwa. Czegoż więc od zjazdu oczekiwać jak nie wymiany doświadczeń przodowniczych, jak nie ustalenia wytycznych do dalszego rozwoju czytelnictwa w województwie, a konkretnie na 3-ci etap ogólnokrajowego Konkursu Czytelnictwa?

Zjazd laureatów? Nagrodzenie 108-miu najlepszych czytelników i organizatorów czytelnictwa na wsi? Pięknie. Ale kiedy i gdzie laureaci wydymali tylko pierś pod przypinany krzyż albo wyciągali tylko rękę po ufundowaną nagrodę? Laureat dziękuje, tzn. przemawiał! I po to jechali się chłopci. Tak ci, co otrzymali, jak i ci, co nie otrzymali nagród.

Okazało się jednak, że przodowników czytelnictwa wzywano do tego, aby posłuchali ob. prezesa Wojewódzkiego Zarządu ZSCH, który wygłosił dwugodzinny referat pod skromnym tytułem: „O niektórych formach pracy kulturalno- oświatowej na wsi województwa bydgoskiego”. Prelegent, trzeba to przyznać, dostrzymał zobowiązania, wyrażonego w tytule referatu, dzięki czemu powiedzieliśmy się o „niektórych tylko formach pracy”.

Co mówią te niektóre? W województwie bydgoskim jest 19 powiatów. Każdy powiat na II-gi etap Konkursu Czytelnictwa zaplanował mniej więcej po 500 uczestników konkursu, jako że planowanie „administracyjne” nie wymaga filozofii, a z góry upaja gruszkami na wierzbie. 19 razy 500 równa się plus minus — 9000. Tego sobie życzyono, tego oczekiwano a doczekano się 1644 uczestników.

Jeden tylko powiat Toruń wypełnił plan, a nawet go przekroczył (520). Powiat Bydgoszcz do 300-tu uczestników, Inowrocław i Włocławek po 100, pozostałe powiaty jeszcze mniej.

Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie wykraczała już pewnie poza „nie-

które problemy”, objęte referatem, dlatego dowiedzieliśmy się tylko tyle, że zarządy powiatowe i gminne ZSCH nie docenily konkursu, ograniczając się prawdopodobnie do mechanicznego rozprawienia w terenie materiału informacyjnego oraz instruktorskiego.

Prawdopodobnie. Ale dlaczego? Odpowiedź dalaiby przodownicy. Ale ponieważ oni wiedzieli a ob. prezes nie był ciekawy, więc się obezszło.

Tu powinniśmy zakończyć sprawozdanie z braku materiałów. Mam jednak ochotę powiedzieć jeszcze coś nie-

coś na własne ryzyko. Próbowałam wszak rozmawiać z uczestnikami, co wcale nie było łatwe, bo najpierw obojętność — cisza — a potem, kiedy zabawiano uczestników tańcami i chórami zespołów świetlicowych, jakie na ów zjazd również przybyły — uciekała przepióreczka w prosa...

Co rzuca się w oczy z samych choćby liczb ob. referenta?

Najbogatsze w uczestników konkursu okazały się powiaty, otaczające większe miasta województwa: Toruń, Bydgoszcz, Włocławek, Inowrocław. Wypełniają one centrum województwa. Pobrząca pozostały jeszcze w częściowym odłogu. O czym to świadczą?

Po pierwsze — o wpływie dużych ośrodków kulturalnych. Ich to działaniu zawdzięczać należy sukcesy na toruńskiej i bydgoskiej wsi oraz największe w inowrocławskim i włocławskim powiecie.

Po drugie — w pobrząnych, oddalonych od centrów kulturalnych powiatów, jak Brodnica, Żnin, Mogilno, Świecie, Tuchola, Sepolno, Wyrzysko, Lipno itd. ruch konkursowy od dołu, od wewnątrz (w gromadach i gmi-

nach), ruch samodzielny okazał się słaby.

Rozumiem, że przy założeniu „oceny niektórych tylko problemów” referat zjazdowy wiele zagadnień pominał. Nie rozumiem natomiast, dlaczego prezes wojewódzkiego zarządu ZSCH zabrał po uszy w ocenę form pracy kulturalno- oświatowej (co chyba nie jest jego specjalnością), a przepuścił tak dobrze mu znaną z urzędu sprawę średniaka.

Wszak województwo bydgoskie to sprawa średniaka. I to jakiego? — „Zakopanego w gospodarstwie”!

Należało przede wszystkim rozwo-

jać czytelnictwa rozważyć klasowo. Pytałam takiego „zubra zagrodowego”, jak tam u was z konkursem? — „Ano, żeby ludzie nie czytali — czytają. Ale powiedz — napisz o książce, którą przeczytałeś albo — choć na zebranie, pogadamy o czytanych książkach — tego jeszcze nie chcę”. Nie chcę „zakopania w gospodarstwie” — średniacy w pobrząnych powiatach naszego województwa.

A kto od dołu w tych powiatkach przelał dojrzała i pobudza średniaka?

Małorolni.

Przypomnę znamienity list Tadeusza Daczakowskiego do wsi Komorowo, powiat Lipno. Drukowała go „Wiś” w 16-tym numerze. Komorowski był synem najmita, zwanianego do prac na fołwarku. Rodzina składała się z 13-tu osób. Uczyć się nie mógł, pozostał na 4-eh klasach. W 16 roku życia sam poszedł na fornałską służbę. Polska Ludowa dała mu ziemię z reformy rolnej. Został średniakiem.

O czym on teraz pisze? „Nasza gromada jeszcze trochę a całkiem już wejdzie w socjalizm i ja już niedługo zrzuć z siebie skórę średniaka, którą mnie Polska Ludowa obdoro-



nie wykraczała już pewnie poza „nie-

Gazetka gminna

„Niedobra miłość“

Czytałem pewien list, który mi przypomniał Kuśmierka opowiadanie o Kociuku. Pod jakim względem? W opowieści Kuśmierka przetacza się akcja z gatunku tych, o jakich zwykliśmy mówić — może prawdziwa, ale nieprawdopodobna. Kocik, robotnik rolny, wraca z Francji jako komunista, wraca z żoną i dziećmi, zakłada spółdzielnię produkcyjną i rąga pod wpływem odwiedzin brata opuszcza żonę i spółdzielnię, osiedla się w rodzinnej wsi, pragnąc w sposób dla niego nawet niejasny złączyć na starym miejscu i w starym układzie stosunków społecznych.

List ma podobną akcję. Ale list jest dokumentem. Tak się wydarzyło. A jak się wydarzyło? Na lubelskiej wsi (w powiecie Radzyń) przed dwoma laty pobrali się wyrobnik z malorolną, która ukończyła gimnazjum rolnicze. Pojechali do Szczecina, do jej brata, który tam studiował. Oboje znaleźli pracę. Nagle po roku on wraca na wieś do swojej matki a za nim ściąga żonę z dzieckiem. Jego matka — jak mówią ludzie — to kobieta okropna. Okropności tej łowidła pisując listy do Szczecina, w których „obszczekiwała“ synową i jej rodzinę. Teraz po powrocie syna uzyskuje nad nim szczególną władzę. Przysłała chorobą do łóżka żonę syna przeciw synowej, awanturowała się, wzorczy. Wynik? Po dwóch latach małżeństwa dziewczyna wróciła z dzieckiem do domu swoich rodziców. Wygnana ją teściowa i mąż.

List pisała wygnana żona. Jej próba wyjaśnienia tego nieprawdopodobnego biegu wydarzeń obraca się wokół matki męża. Wydaje się jej, że tu tkwi tajemnica dramatu w magnetyzmie okropnej staruchy. U Kuśmierka działa na Kocika magnetyzm rodzinnej wsi, której ten obiecywał „z olejem w głowie“ chciałby imponować. Ow magnetyzm wywołuje w czytelniczce opór, bo Kocik to przecież komunista, to spółdzielca, to mąż i ojciec. Więc jeśli w starcie rzucza się te sily i „wygrywa“ magnetyzm rodzinnej kapitalistycznej wsi — to wtedy dopiero, kiedy czytelniczka zobaczy wątpliwą podszewkę komunisty z nazwy, kiedy zobaczy dzieje Kocika w spółdzielni, jakie go z niej wyprowadziły, kiedy zobaczy konflikty w rodzinie.

Wróćmy do listu. Dlaczego zwy-

ciężyła starucha? I dlaczego walczyła przeciw synowej? Synowa ma dwóch braci i siostrę. „Wszyscy uzdolnieni“. „Jeden w pierwszym roku służby wojskowej już zaawansował“. Drugi na studiach uznany został przodownikiem nauki. Siostra w Liceum Pedagogicznym bardzo zdolna, bo otrzymała stypendium. Ona sama 26-letnia po gimnazjum rolniczym. Przywiozła swego 30-letniego męża „biednego wyrobnika“ — do brata i siostry. Dostał się w krąg „uczzonej“ rodziny i zbiegł z obcego mu świata. Zbiegł z dwu powodów. Raz dlatego, że trudny i wyższy, a nikt nie pomógł mu podźwignąć się. Po wtóre dlatego, że ten wyższy świat nie próbował i nie potrafił zapanować nad nim. Przeciwnie żona najfalszywiej zniżyła się do niego „wzięła pracę“ biuralistki, ale nie rolniczkę. Wrócił na wieś, do ciemnej matki, do wolnego żywota wyrobnika, ten syn „niewiadomego“ ojca. Wróciła żona, aby być w „domu“, aby oprzeć się materialnie o swoich rodziców, ale nie próbowała na wsi objąć pracy, do jakiej przygotowała ją gimnazjum rolnicze. Nie próbowała zostać działaczką — agronomem. Drugi akt dramatu trwał cały rok. Mąż nie znalazł ani pomocy od tej „uczzonej“, wyższej kobiety ani też jej sily, przed którą może by się ukorzył. A ta jej zmarnowana sily tkwiła w pracy działacza rolnego. Ukorzył się więc przed sily zacołania, przed sily wyzłobionej drogi wyrobnika. Poszedł pod komendę matki, która wyczuła w synowej nie tylko „wyższość“ ale i słabość — ni to, ni owo. Przylączył się do walki z człowiekiem, któremu rewolucja dała warunki na aktywistę, a który rozczarował „zgorzkniałego wyrobnika zarówno brakiem wiary i oddania sprawie rewolucji i postępu na wsi, jak też brakiem znaczenia i wpływu na wsi.

Dramatu osobistego żony nie zacieśniałbym do sprawy: on (wyrobnik) — ona i dziecko. Nowa miłość, nowy związek podminowane są tym samym dramatem. Ale mamy prawo żywić nadzieję, że maturzystkę gimnazjum rolniczego weźmie w obrót Gminna Rada. A w tym samym stanie się działaczem. A wtedy... zniknie dla osobistego życia to największe zagrożenie, jakie ukazuje list korespondentki. Jan Kurzołka

Sąsiedzka nienawiść

Z gromady Szahda (pow. brodnicki) pisze chłop list do „Rolnika“. Oskarża sąsiada. Nie lubię tego typu listów. Miejsce dawnych kosztownych sądów zajmują teraz działy korespondencji z terenu w różnych redakcjach. Tu wpływa własnoręcznie sporządzony akt oskarżenia Sąsiedzka zawiść i pieniactwo spadły widac w cenie, skoro szukają ujścia na drodze bez kosztów, ale i bez wyroku. Taki właśnie list — jak mi się wydawało — odkładałem już na bok. Bo „sąsiad“ otrzymał przydział drzewa na stodołę (on zaś pewnie nie otrzymał). Bo od dwu lat „sąsiad“ nie buduje, drzewo więc niszczeje na deszczu. A takie drzewo „na pewno, by wykorzystali bardziej potrzebujący“.

Jeszcze kilka zdań a przeczytałem: zabieracie sąsiadowi i dajcie mniel. Ołóż niel „Co gorsza, — pisze chłop — mój sąsiad Dobrzelski drzewo budowlane rznie na opał i pali. Tu widac jawny sabotaż u prezesa gromadzkiego ZSCh, Dobrzelskiego. Kiedy państwo nasze buduje wielki przemysł i uczy nas oszczędności, aby najpierw były fabryki, to nasz prezes uczy nas marnotrawstwa“.

Oto ciekawy przyczynek do nowych, socjalistycznego już typu — a nie dawnego, kapitalistycznego — konfliktów sąsiedzkich.

Oburzenie, nienawiść rodzą się, jak się rodziły, ale zmieniają się ich powody i treść. Sąsiad na zebraniu gromadzkim odmówił sąsiadowi votum zaufania. Prezes zlecił z fotela spółdzielczego, bo sąsiad powiódł do niego „złość“ ale za sabotaż, za marnotrawstwo dobra społecznego.

Wojciech Pawelec

Jedna gromada i dwie rady

W powiecie Kolo leży wieś Brdów, o której chłopci w okolicy powiadają, że jest „uprzywilejowana przez króla Jagiellę“. Ano, jest uprzywilejowana. Ma jezioro rybne i ogrody. Z tego też tytułu posiada Radę Gromadzką. Owa rada również korzysta z przywilejów. Należą bowiem do niej członkowie tej samej rodziny i „za tyle lat, choć ogół się upomina — pisze korespondent — żadnego sprawozdania nie dała: czy rybak wylać dzierzawę, czy duży dochód dały ogrody? Na zebraniach to się zaklinają, a zawsze wykręcają się od sprawozdania, które by dało wynik, co się robi i gdzie są te pieniądze za jezioro brdowskie i z ogrodów“.

Należy się domyślać, że z tych dochodów podjęto przed trzema laty budowę gromadzkiego domu ludowego. Kiedy wydzwignięto mury tego pięknego gmachu, robota stanęła, zabrakło do wykończenia materiałów. Tak twierdziła Rada. Wtedy gromada wysłała delegatów na zachód po zakup rozbrórkowego baru dla pokrycia dachem niszczących murów.

Z tego materiału „panująca rodzina“ pobudowała sobie stodoły i tak skończyła się sprawa domu ludowego. Również przed trzema laty rozpoczęto elektryfikację wsi „ze składem oraz różnymi imp ez“. Okazuje się, że „panująca rodzina“ gospodaruje jezioro i ogrodami, rozporządza społecznym funduszem bez wliczeń, bez kontroli, bez sprawozdań, a wielkie akcje — budowę domu ludowego i elektryfikację wsi, przerywa i zarzuca. Wodzi zatem, jak chce, za nos gromadę.

A gromada składa się z mało i średniorolnych, którzy dobrze wywiązują się z obowiązków wobec Państwa. Pragnęli i pragną domu ludowego, elektrycznego światła i radia. Zastanawiają, że dla osiągnięcia tych celów nie liczyli wylączenia na „wolne od kontroli“ fundusze z jeziora i ogrodów. Z całą gotowością opodatkowali się dobrowolnie i gromadzili fundusze z imprez artystycznych i zabaw.

Dlatego więc gromada nie poddała Radę kontroli, dlaczego jej nie obalili? Dlatego chyba, że i Rada i gromada założyła od Gminnej Rady.

Z listu korespondenta wynika że „panująca rodzina“ nie jest kontrolowana przez Gminną Radę, a przecież zarządza gospodarstwem rybnym i ogrodami, a przecież ma kasę, dochody, obraca społecznymi pieniędzmi.

Jaki zaś jest stosunek Gminnej Rady do chłopów z Brdów ukazał korespondent na przykładzie elektryfikacji.

Wiosną 1951 kolonia Brdów ponowiła starania i Gminna Rada oraz Komitet Elektryfikacyjny (w skład którego wchodzi wyłącznie (?) przedstawiciele gromady Bobiak, czyli gminnej wsi) — przyrzekli wydać 40 słupów. Przyrzekli, ale pewnego dnia słupy znalazły się we wsi Józefów. Stało się tak za decyzją tejże samej Rady. Chłopi z Brdowa wnieśli sprzeciw i na Prezydium GRN poddano obie decyzje „od głosowanie. „Sprawa kolonii Brdów upadła dwoma głosami“.

Dlatego? Powtórzę pytanie korespondenta.

„Dlatego Rada Gminna nie bierze pod nadzór naszej Rady Gromadzkiej? Dlaczego nie rozpatrzyła, czegośmy żądali, komu służyć powinno światło, czy mało i średniorolnym z kolonii Brdów czy kulakom z Józefowa, czy kolonii Brdów, która wywiązała się dobrze ze skupu i innych obowiązków czy gromadzie Józefów, która wywiązała się źle, i z oporami. Dlaczego Gminna Rada odrzucała tę podstawę do decyzji a tak po amerykańsku puściła w ruch maszynkę do głosowania?“

Zenon Libera

KRYSTYNA PAŁYS

Premiery w Siemierzu i Rożdżalowie

GDY zamilkły w powiecie tomaszowskim ostatnie strzały jaszystowskich niedobitków, do nauczyciela w Siemierzu, Józefa Michalczuka przyszło kilku chłopców i dziewcząt. Słyszeli od rodziców, że młodzież przed wojną „grala“. Oni też chcieli spróbować.

W ten sposób młodzie podtrzymała dawne tradycje. Zaczęły się próby, w szkole do późnej nocy paliło się światło, a gdy we wsi pojawił się ajniz, zapowiadający niezbyt kształtymi literami wystawienie sztuki „Mundur swatem“ — na premierę przybyła cała wieś.

kowej, Sienkiewicza i Prusa. Zespół przyjechał na eliminację z udrumaty-zowaną nowelą Sienkiewicza.

Zyje w Siemierzu malorolny Czesław Urban, liczący sobie lat około trzydziestu. W dzień gospodarzy na dwóch hektarach, bo wyżwić trzeba żonę i czworo dzieci. Wieczorem idzie do szkoły na próby albo majstrować przy dekoracjach i kostiumach. Spod zgrubiałych od roboty palców Urbana wychodzą co roku fantazyjne stroje dla żabek, krasnoludków i duszków, bo wzięł on dobrowolnie na siebie obowiązek dostarczania ko-

li bez okien, sam przygotowuje kostiumy i peruki, a reżyser jest równocześnie fryzjerem, kostiumologiem i dekoratorem. Ileż zapału i wytrwałości muszą mieć ci ludzie, którzy na zapadłej wsi sięgają do klasycznych. Premiery we wsi bez sceny i świetlicy w Rożdżalowie są szeroko znane w okolicy, a na każde przedstawienie wali moc narodu.

A teraz kilka słów o opiece, która należy się większym zespołom teatralnym ze strony Związku Samopomocy Chłopskiej, rejeratów kultury przy Gminnych i Powiatowych Radach Narodowych.

Stanisław Walczuk z Rożdżalowa sam piluje z amatorami belki i deski na scenę, przed każdym występem ruderze bez okien. Gdyby nie niewyczerpana energia tego chłopca, zespół rozleciałby się dawno. Chociaż gra Fredre, Moliera i Gogola, a istnieje od wielu lat — GRN i PRN dają się nic o tym nie wiedzieć.

Przepraszam — „pomoc i opieka“ objawia się tylko w jednym wypadku, kiedy amatorzy z Rożdżalowa chcą wyjechać z przedstawieniem w teren. Wtedy kierownik powiatowego referatu kultury, biurokrata jakich za święcą trzeba szukać, każe czekać na rozpatrzenie podania o zezwolenie na wyjazd aż dziesięć dni. Krótszy termin dla zalatwienia tej „wysoko skomplikowanej sprawy“ zakłóciłby ślamazarowy tok jego urzędowania. W ciągu długich lat nie pomyślano o jakichkolwiek subsydiach dla kół amatorów w Rożdżalowie, które pokrywa wszystkie wydatki z „własnej kieszeni“. A przecież w województwie lubelskim przewidziano w budżecie na rok 1952 poważne sumy na organizowanie konkursów artystycznych itp.

O czym to mówię?

Ze ciągłe jeszcze nie doceniamy roli większych zespołów artystycznych, jako czynników wpływającego na przebudowę psychiki chłopca i życia wsi lubelskiej. Jeden występ zespołu z Siemierza lub Rożdżalowa ze sztuką poruszającą problemy, którymi żyje dzisiaj wieś, uczynić może więcej niż kilka narad albo konferencji.

Amatorskie zespoły z Lubelszczyzny wezmą wkrótce udział wespół z aktywnym partyjnym i społecznym w wielkiej akcji popularyzacji osiągnięć spółdzielczości produkcyjnej. 624 zespoły wiejskie na Lubelszczyźnie to wielka, blisko 10-tyśięlna armia agitatorów, w której repertuarze musi zadźwięczeć mocno nowa socjalistyczna nuta.

Krystyna Pałys



„Na przystanku“ Ulińskiego — zespół teatralny z Ramienik pow. Grodków.

Od tego czasu, po zakończeniu robót jesiennych w polu, zaczynały się wieczorami próby, a około Nowego Roku odbywała się premiera.

Gromada doprowadziła do porządku opuszczony dom, wybudowała scenę — tak że w świetlicy gromadzkiej 250 ludzi mieści się na jednym przedstawieniu.

Co roku zmieniają się na jej ścianach ajzse: W 1947 anonowały „Filozofa“, w 1948 — „Babską politykę“, w 1949 — „Dziurdzów“, w 1950 — „Szkie węgłem“, w 1951 — „Powracającą Jale“.

Józef Michalczuk, nauczyciel i reżyser w jednej osobie zagrawszy z zespołem pierwszą komedię, począł szukać w swoim repertuarze czegoś więcej jak śmiechu i rozrywkę. Wybrał „Filozofa“, bo chciał pokazać postępowego chłopca, a potem „Babską politykę“, o zabarwieniu satyrycznym, ośmieszającym niezdrowe ambicje, intrygantwo i plotki. Później sięgnął do adaptacji utworów Orzesz-

stiumów nie tylko dla zespołu dorosłych, ale również dla dzieci szkolnych, z którymi nauczyciel Michalczuk urząda co roku przedstawienia. Urban to „filar“ zespołu teatralnego z Siemierza, aktor dźwigający na chłopskich barkach główne role, scenograf, dekorator i kostiumolog równocześnie.

Gra Stanisław Walczuka, też malorolnego chłopca z Rożdżalowa, w powiecie chełmskim, wielka swada, z jaką poprowadził rolę pułkownika Reboşa w komedynie Aleksandra Fredry „Nikt mnie nie zna“, doskonała jak na amatora dykcja, to jeszcze nie wszystkie jego zalety. Walczuk ukończył 6-miesięczny kurs dla reżyserów teatrów amatorskich w Jadwisinie pod Warszawą i jest duszą zespołu, mającego w swoim repertuarze Fredre, Moliera a przygotowującego „Rewizora“ Gogola. Zespół przed każdym przedstawieniem buduje „scenę“ w jakiejś prowizorycznej sa-

KLEMENS KRZYŻAGÓRSKI

L e k c j a

CHOROBA wyrwała mnie na pewien czas z akcji, którą wtedy prowadziła nasza gazeta. Była nią dyskusja nad projektem Konstytucji. Po kilkunastudniowym pobycie w klinice kazano mi wyjechać i odpocząwać. Zrobiłem w myśli przegląd krewnych i znajomych i w zakamarkach pamięci wygrzebałem ni mniej ni więcej tylko wujka, który osiedlił się we wsi Góry, obok Miłicza.

Wieś na wygląd rozczarowała mnie. Do stacji kolejowej pięć kilometrów, do gminy tyleż, kilkanaście chałup na krzyż, a w środku spółdzielnia.

Mój przyjazd wywołał pewne zainteresowanie. Mężczyźni stwierdzili, że przyjechał referent kontraktacji, kobiety — że ksiądz katecheta. Dzieci, że pan inspektor. Ostatecznie, przyjęło się to ostatnie rozpoznanie. W związku z tym w szkole, w której zamieszkałem, wśród młodego towarzystwa dało się zauważyć zdenerwowanie udzielające się nawet najmłodszym „słuchaczom“ ochronki na drugim piętrze. Ci ostatni w wielkim podekscytowaniu ćwiczyli najnowszą zabawę: „Lata mucha koło ucha“ i uczyli się piosenki, aby się czymś pochwalić przed panem inspektorem.

W wielkim garnku na swobodzie tańczowały kluski w wodzie. Tańczowały, tańczowały. Aż się wnet rozgotowały...

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.
Prenumerata i kolportaż: P. K. „Ruch“, Oddział w Warszawie, ulica Sierbna 12, tel. 804-20 do 25.
Tel. Red. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751-80. Dod. wewn. 91, 83.
REDAKCJA NIE ZAMOWIENIACH REKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Płac. 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
WARUNKI PRENUMERATY:
miesięcznie 3,— zł. kwartalnie 9,—, półrocznie 15,—, rocznie 36,— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś““.

RSW „PRASA“, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-19145

O pomoc dla biedniackiej wsi

„Niech o tym wie powiat Bilgoraj“. A dlaczego? Bo w bilgorajskim powiecie znajduje się biedna wieś Suchów Dolny. Biedna ona była przed wojną, ale dziś mogłaby już wyglądać niebiednie. Tego pragnęła i pragnie gromada. A jak jest? Jak jest z warunkami jej społecznego życia? Spółdzielnia gminna rezyduje w siedzibie w Woli Różanieckiej, faktycznie zaś sklep trzyma w Suchowie Dolnym w izbie (prywatnie wynajętej) o 4-ch m na 4. W tym niedużym sklepiku słoczonno towary, tu odbywa się skup jaj, butelek i złomu. „Wstyd to wielki dla GS-u“. Wstyd dla Rady Narodowej. Bo Straż Pożarna mieści się też w prywatnej stodole. (Gdyby ogień ogarnął to gospodarstwo, niesposób byłoby wynieść samej sikawki).

Bo szkoła nie ma budynku własnego, klasy rozrzucone są po chałupach. Dla nauczycieli w całej wsi „wyskubać“ dało się zaledwie dwa pokoje i kuchnię. Szczęściem, że u społecznieni nauczyciele chcą codziennie przychodzić z drugiej wioski, 4 km drogi.

Bo świetlica (lokalu) nie ma żadnej, bo zebrania gromadzkie, ZMP,

ZSCh, czy gospodyni odbywają się w sali szkolnej.

Długa lista i niepokojąca lista. Kto tu winien? Chłopi w Suchowie Dolnym otrzymują — wciąż jednakową z GRN-u odpowiedź „To se wybudujcie sami, nikt wam budował nie będzie“.

Złe odpowiada GRN a jeszcze gorzej przedstawia się jej odpowiedź na te stanowiska gromady.

— „Rozumiemy to dobrze — piszą chłopcy z Suchowa Dolnego — że GRN, jak również GS nie przyjdą nam wybudować domów na potrzeby społeczne, zrobić chcemy to sami i na nasz koszt, ale potrzebujemy materiału do budowy“.

„Niech o tym wie powiat Bilgoraj!“

Biedna sprzed wojny wieś pragnie rozwijać swe życie społeczne — zbudować instytucje oświaty, kultury i gospodarki. Takiej zbiorowej i szerokiej inicjatywy nie wolno lekceważyć. Na takiej inicjatywie biedniackiej wsi należy się oprzeć — taka winna być polityka władzy ludowej bilgorajskiego powiatu.

Jan Kosiński

„Średniamałorolny“

Szanowna Redakcjo!

Kolos się nazywam, ale chłop jełem malorolny. Z powiatu — trzeba Redakcji wiedzieć — sierpeckiego, znaczy województwo warszawskie. Rada Gminna przyznała pożyczkę dla naszej gromady na nawozy sztuczne za pomocą skryptów dłużnych. Ale za pomocą rozmaitych ludzi zdanie naszej gromady upadło. A było to tak. Na zebraniu gromadzkim prezes ZSCh mówi — dać najmniejszym rolnikom, bo im najbardziej brak. To więksi — przeciw obowiązkowi wszyscy wypełniamy, należy się zatem większym, bo u nich większa Produktowski Adam powiada — należy się małym, bo Państwo na to kładzie nacisk i jak będzie wyglądał Kolos (znaczy ja) albo inni malorolnicy?

Prezes Gąsiorowski zrobił listę i wysłał do Rady Gminnej. Ale kiedy przyszło do odbioru instruktor Prorowski Leon i Piotrowski Jan, aktywista ZMP, rozdzielił po swojemu.

To wacy tacy aktywiści? Za piec wsadzacie listę, którą uchwalila gromada? A komu dajecie? Piotrowski Jan, posiadacz przeszło 15 ha wzięł sobie i przyznał swemu kuzynowi, który posiada 19 ha, Matyjasikowi i Marcinkowskiemu (15 ha).

Powiała Piotrowski — nie mam nawozu pod kartofle a kłoby nie sadził?

A czemuś nie zabezpieczył nowozu, który wywoziłeś w pole? Na kupie

stał to i spalił się. Kto temu winien? Polska Ludowa też była w gruzach, a odbudowała się. Był przez 7 lat miał zniżkę w podatku i gospodarstwo było w rozkwicie. A dlaczego upadło?

Ja mu odpowiem Szanowna Redakcjo. Nawóz się pali, kiedy się zaczyna u pana instruktora grać w karty od soboty do niedzieli w poludnie. Za taką przyczyną gospodarstwo stanie i aktywnie stanie a zetemponcy mu nie pomogą, bo nie wart.

On liczy na instruktora, jego kuzyna. Ale instruktor taki sam jak on gospodarz. Miał 9 ha, a nie musiał dać matce element, rzucił gospodarzkę, bo powiada — nie mogę dać rady. I taki chce nas uczyć, jak należy gospodarować?

Co on mówi do sołtysa? — Kolos nie jest malorolny, bo ma 5 ha.

Pięć ha mam, zaś ornego tylko 2. Ale znowu mi przybywa, bo dzierzawę od Rządu 3 ha, to i placę 300 zł. rocznie.

Nie malorolny jestem? No, to krzygnę średniaki A Piotrowski 15 ha — to malorolny?

Ja głosowałem na siebie. Na siebie ale i na drugich jeszcze w gorszym położeniu. A Piotrowski razem z instruktorem tacy aktywiści — przeciw Kolosowi i przeciw tak biednym, jak Rutkiewicz, inwalida i jak Prorowski Stach rozrządzili się skryptami dłużnymi.

Piotr Kolos

Klemens Krzyżagórski